

JANINA  
AUGUSTYNOWICZ

# Jacek

## W RAVENSBRÜCK

*26. podziemie  
Kamisiński  
Czerwinski  
11/1  
11/1  
11/1*



Okladkę, strony tytułowe i strony  
części projektował  
**JERZY KĘPKIEWICZ**

**Redaktor**  
**BARBARA SZEMPLINSKA**

Copyright by „Książka i Wiedza”, 1972

**Warszawa, Poland**



*Wspomnienia te kreśliłam po przybyciu z Ravensbrück do Szwecji, w różnych odstępach czasu. Przywiozłam je do kraju z zamiarem dokończenia, lecz nasze nowe życie, budowane od podstaw w czterech pustych ścianach ocalałego domu, nie zostawiało czasu na zajęcie się tą sprawą i zapisane kartki leżały latami w walizce ze szkolnymi zeszytami dzieci.*

*Potem, kiedy chciałam do nich wrócić, okazało się, że się gdzieś zawieruszyły. Przez długi czas nie mogłam ich znaleźć i nawet pogodziłam się już z ich stratą.*

*Mijały lata, dzieci rosły, Jacek z wolna zapominał o złym okresie dzieciństwa.*

*Dopiero zimą 1959 roku któreś z dzieci w poszukiwaniu jakichś papierów zawędrowało na strych i tu znalazło moje wspomnienia pokryte pyłem i pajęczyną.*

*Z myślą o nich, o moich dzieciach, odtworzyłam ten najtragiczniejszy okres życia naszej rodziny, kiedy czteroletni Jacuś był więźniem Ravensbrück, oznaczonym czerwonym winkiem i numerem 47 501.*

*Książkę tę poświęcam wszystkim więźniarkom i więźniom, znanym*

*i nieznany, dzięki którym  
przetrwaliśmy obóz.*

Część I

0002



## *Aresztowanie*

Okres okupacji niemieckiej spędziliśmy w Niwiskach, wsi oddalonej 12 kilometrów od miasta powiatowego Kolbuszowa. Od wielu już lat mąż mój, Henryk Augustynowicz, był administratorem lasów w tej wsi. Zimą 1942 i wiosną 1943 roku z Niwisk i sąsiednich wsi Niemcy wysiedlili niemal całą ludność i od tego czasu wszystkie okoliczne lasy znalazły się pod administracją mego męża. Mieszkaliśmy w Niwiskach w leśniczówce wraz z naszymi dziećmi: czternastoletnią Ewusią, trzynastoletnim Andrzejkiem, czteroletnim Jacusiem oraz służącą Stasią Białek.

Jesienią 1943 roku we wsi Blizna Niemcy zbudowali wyrzutnię pocisków rakietowych V-2. Doświadczenia z nową bronią przebiegały w ścisłej tajemnicy. Okoliczne lasy były strzeżone, wstęp do nich był zabroniony pod karą śmierci, zakaz ten obejmował również mego męża.

Dnia 25 lipca 1944 roku wczesnym rankiem obudziły nas ogłuszające detonacje. To w Bliźnie wysadzano w powietrze urządzenia pocisków V-2.

Zbliżała się linia frontu, oddziały rosyjskie parły naprzód.



Okolo godziny ósmej pojawiły się pierwsze wozy z uciekającą ludnością cywilną. Byli to Niemcy z różnych placówek administracyjnych i Volksdeutsche. Sznur wozów i różnych pojazdów wiozących zrabowany dobytek ciągnął się nieprzerwanie.

Myśleliśmy, że koniec wojny jest tuż-tuż. W powietrzu wyczuwało się atmosferę napięcia, podniecenia i oczekiwania.

Po śniadaniu przed nasz dom zajechali konno żandarmi, kwaterujący we dworze w sąsiedztwie naszego leśnictwa.

Przyjechali się „pożegnać”. Mąż wyszedł do nich, a my patrząc przez okno życzyliśmy im złamania karku i odetchnęliśmy z ulgą, gdy odjechali. Niedługo potem wybraliśmy się oboje z mężem do Kolbuszowej. Wobec tak niepewnej sytuacji chciałam pozałatwiać różne sprawy, kupić trochę żywności, lekarstw i opatrunków, pójść do krawcowej, szewca, no i dowiedzieć się, co ludzie myślą i mówią.

W mieście panował nastrój silnego podniecenia i mieszane uczucia: radości, niepewności i troski o tych, których aresztowano. Okazało się, że uciekając, Niemcy zabierali z sobą wielu mężczyzn. Rano okolo godziny czwartej otoczyli miasto i przeszukiwali dom po domu. Kto się szybko zorientował i ukrył, tego branka ominęła.

Wielu wróciło, uciekając z aut w drodze. Eskortowali ich Ukraińcy z dywizji SS-Galizien. Sprytniejsi, którzy mieli przy sobie coś wartościowego, na przykład zegarek, przekupywali żołdaków i uciekali. Wiele kobiet wypatrywało swoich najbliższych, mając nadzieję, że uda im się zbiec i wrócą szczęśliwie.

Przed odjazdem do domu spotkaliśmy się z Kasią Frączkową, siostrą mego męża. Była bardzo zdenerwowana. Mąż Kasi, Józef Frączek, lekarz, od 1941 roku przebywał w więzieniach i w obozach koncentracyjnych, ostatnio w Gross-Rosen. Kasia mieszkała w Komorowie koło Zamościa. Poszukiwała różnych dróg i sposobów uwolnienia męża, ale bez powodzenia. Po wyczerpaniu wszelkich możliwości, a także w obawie przed okropnościami, jakie niesła niemiecka pacyfikacja Zamojszczyzny, w dramatycznych okolicznościach udało się jej z dziećmi uciec do Lwowa do siostry, a stąd mój mąż przywiózł ją do Kolbuszowej, gdzie zamieszkała w naszym domu.

W zimie 1942 roku na terenach wysiedlonych zapanowała epidemia tyfusu. Robotnicy z leśnictwa chorowali, lecz daremnie jeździli do lekarza w mieście. Lekarzy było w powiecie zaledwie dwóch i

trudno uchwytnych. Wpadłam na pomysł, żeby mąż, wykorzystując poprawne stosunki ze swoim niemieckim przełożonym, nadleśniczym Marxenem, oraz jego zastępcą Bormannem, podobno szarą eminencją w Komendanturze, poddał im myśl, aby Komendantura postarała się o przeniesienie Józka jako lekarza z obozu w Gross-Rosen do obozu w Pustkowie koło Dębicy. Na jednej z inspekcji przy omawianiu spraw służbowych i warunków, jakie panują w kolonii robotniczej, mąż poruszył sprawę epidemii oraz braku lekarza w tej okolicy. Powiedział o swoim krewnym, lekarzu, który jest w Gross-Rosen. Wyjaśnił, że człowiek ten znalazł się w obozie z łapanki ulicznej, że pracuje tam fizycznie i gdyby wrócił do swej pracy zawodowej, korzyść byłaby obustronna, bo robotnika z łopata zastąpi każdy, a lekarza nie. Niemcy przyznali mu rację i obiecali sprawę poruszyć w Komendanturze, nadziei jednak nie rokowali.

Kilka tygodni po tej rozmowie mąż otrzymał telefoniczne polecenie, by otropiono dziki, ponieważ następnego dnia rano przyjadą goście z Berlina na polowanie. Wkrótce po telefonie przyjechał Bormann i powiedział mężowi, że będzie sam zastępca Himmlera i jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to po polowaniu przedstawi

mu sprawę lekarza Frączka. Na szczęście dziki były, i to w kilku miotach. Gajowi i robotnicy poinformowani przez męża, o co chodzi, tak je popędzili, że dziki wyszły i generałowi udało się ustrzelić jednego.

Po polowaniu podszedł do męża, podziękował za stanowisko, wypytywał o stan zwierzyny, pracę w lesie. Do rozmowy wtrącił się Marxen i zreferował sprawę szwagra. Generał zastanowił się, po czym powiedział, że porozmawiają o tym w Komendanturze i że chyba jest możliwość pozytywnego załatwienia tej sprawy. Jednocześnie uprzedził, że jeżeli więzień ucieknie, mój mąż zapłaci za to głową.

Po upływie dziewięciu miesięcy Józka skutego w kajdany, pod eskortą, przewieziono z Gross-Rosen do obozu w Pustkowiu. Po przyjeździe musiał podpisać deklarację, że nie ucieknie. Kiedy pierwszy raz spotkał się z moim mężem w ambulatorium przy szpitalu dla robotników, stwierdził, że gdyby pozostał w Gross-Rosen, dni jego byłyby policzone.

Przez osiem miesięcy pracował w Pustkowiu, lecząc robotników i ich rodziny na terenie wysiedlonym. Z czasem, z powodu braku lekarzy, Niemcy zezwolili na przyjmowanie chorych z okolicznych wsi, nawet nie wysiedlonych. Józek wkrótce zdobył sobie uznanie jako bardzo dobry

lekarz, nawet Niemcy potajemnie leczyli się u niego, nie wyłączając samego komendanta obozu, Czaplí.

Ludzie odwdzięczali się, czym mogli, głównie żywnością, która miała największą wartość. Kasia uzyskała ausweis uprawniający do pobytu na terenie zajmowanym przez SS, a co za tym idzie, możliwość widywania się z mężem w szpitaliku, dokąd codziennie był doprowadzany pod eskortą, a po pracy odprowadzany do obozu więźniów.

Kasia mogła nie tylko odwiedzać go sama, ale przywoziła do szpitalika dzieci i zostawała tam z nimi na dwa lub trzy dni. Odwoziły ją i przywoziły konie służbowe wysyłane przez mego męża. Kiedy 25 lipca spotkaliśmy się z Kasią w Kolbuszowej, powiedziała nam, iż umówiła się z mężem, że gdy tylko zostanie zarządzone ewakuacja obozu, będzie próbował ucieczki. Była zdenerwowana i niespokojna, bo nie wiedziała, czy uda mu się zbiec. Nie mogliśmy jej pomóc, bo sami nie mieliśmy żadnych wiadomości. W mieście panował ruch. Kto miał coś wartościowego, ukrywał, zabezpieczał pościel i niezbędne przedmioty. Nasze lepsze rzeczy: kilimy, zimowe okrycia, bielizna, były w naszym domu w Kolbuszowej, wywiezione z Niwisk w obawie przed grasującymi

bandami. Zastanawialiśmy się, co zrobić: zostawić je, czy zabrać z powrotem. Pomyśleliśmy, że lepiej mieć je przy sobie, i postanowiliśmy zakopać w Niwiskach. Załadowaliśmy wszystko na bryczkę i pojechaliśmy. Po powrocie do domu zabraliśmy się do pakowania rzeczy przeznaczonych do ukrycia. Wszystko przygotowane czekało pory wieczornej, aby kręcący się ludzie nie widzieli, co i gdzie się chowa. W nocy mąż miał się ulotnić. Umówiliśmy się, że gdyby go ktoś szukał, będę mówić, iż wyjechał do Kolbuszowej i tam pewnie zanocewał. Do czasu wyjaśnienia się sytuacji mieliśmy się kontaktować przez księdza Kurka lub sekretarza męża, pana Letkiewicza. Po ustaleniu tych wszystkich spraw usiedliśmy na werandzie. Patrzyliśmy na szosę i poprzez liście winogron obserwowaliśmy uciekających Niemców. Było wczesne popołudnie. Przypominaliśmy sobie, jak to w 1939 roku ta sama droga roiła się od nieszczęsnych uchodźców polskich, wojska i różnych pojazdów, kierujących się na wschód. Dziś Niemcy po swoich „tryumfach” uciekają na zachód. Dziękowaliśmy Bogu, że wojna, która spowodowała tyle nieszczęść, nas do tej pory oszczędziła. Niedługo potem mąż pojechał na rowerze na wieś zamówić na następny dzień zniwiarzy. Załatwił wszystko w kuźni, gdzie spotkał kilku

robotników, między innymi jednego z Przedborza, który powiedział, że właśnie idzie do pana leśniczego okazać zwolnienie lekarskie na trzy dni i przynosi pozdrowienia od doktora. Powiedział też, że pan doktor prosił, aby mój mąż zobaczył się z jego żoną. Wynikało więc z tego, że obóz nie jest jeszcze w pogotowiu ewakuacyjnym. Potwierdził to też ów robotnik, mówiąc, że nie zauważył tam nic takiego, co by wskazywało, iż Niemcy mają zamiar dziś lub jutro uciekać. Opowiadał, że pan doktor jest w dobrym humorze i prawie każdemu choremu daje zwolnienie. Robotnik ten zapomniał tylko powiedzieć, że było to wczoraj. Na zwolnieniu była dzisiejsza data i to nas zmyliło. Uważaliśmy, że nie ma sensu jechać do Kolbuszowej po raz drugi, bo z Kasią widzieliśmy się już przed południem. Poszłam z Ewą i Jacusiem do ogrodu na maliny. Nie miałam zamiaru robić z nich zapasów zimowych ani nawet jeść, poszłam, aby zająć się czymś, odprężyć, popatrzeć na łodygi uginające się pod ciężarem owoców. Akompaniowały nam bezustanne grzmoty dział i odległe terkoty karabinów maszynowych. Myślałam, że lada dzień może się zdarzyć coś złego, że może trzeba będzie przeżyć ciężkie chwile, a nawet spotkać się ze śmiercią. To groźne, co niesie

ze sobą wojna, wisiało w powietrzu, udzielało się wszystkim mieszkańcom kolonii robotniczej. Szosa już pustoszała. W pewnej chwili zainteresowało mnie i Ewusię samotne zbliżające się w naszym kierunku auto. Patrzyłyśmy, dokąd jedzie. — Może po nas? — zażartowałam. Smutny i proroczy był to żart. Skręciło z szosy w stronę dworu, przejechało most i straciłyśmy je z oczu za dworskimi zabudowaniami. Widocznie zajęchało do dworu, gdzie teraz było gospodarstwo rolne, które prowadził SS-man Heist. Za kilka minut zobaczyłyśmy wychodzących zza stajennej bramy czterech SS-manów z automatami. Zdążyli wyraźnie w stronę naszego podwórza. Tknięta złym przecuciem pobiegłam uprzedzić męża kopiącego w drewnutni dół, w którym mieliśmy zakopać nasze rzeczy. Za późno. Kiedy weszłam na podwórze, oni byli już w bramie naprzeciwko, z nastawionymi do strzału automatami. Jeden z nich podszedł do ganuku. Zapytali, kim jestem, gdzie mąż i dzieci. Jakby w odpowiedzi na ich pytania, mąż stanął w drzwiach drewnutni. Z ich postawy i z rozkazu „Hände hoch” zrozumieliśmy, że źle z nami. Przerazona straciłam zupełnie głowę, strach odebrał mi mowę. Myślałam tylko o tym, co zrobią z Henrykiem. Jeden z SS-manów był „znajomym” z posterunku



żandarmerii w naszej wsi. Niejeden raz był w leśnictwie i znał nas wszystkich. Oświadczył, że mają rozkaz zabrać nie tylko męża, ale wszystkich domowników. Pragnęłam ratować dzieci, chociaż małego Jacusia. Mogły uniknąć aresztowania uciekając zaraz, ukrywając się w kartoflach za ogrodzeniem. Ewusia była przy mnie, Jacek został w malinach. Niestety — po chwili wbiegł w sam środek żandarmów. Był prawie nagi, panował upał, zrzucił koszulkę i chodził w samych majteczkach. Żandarmi rozkazali nam ubierać się, dali pięć minut czasu na zabranie potrzebnych rzeczy. Mężowi kazali wziąć dokumenty i w tym celu poszli do kancelarii. Tam spisali nasz żywy inwentarz. Gdy wyszli, poprosiłam ich, aby pozwolili zostawić najmłodsze dziecko przy naszej służącej Stasi, której kazali pokazać ausweis. Coś w nim zanotowali i polecili jej nie opuszczać domu. Nie wskórałam nic. Powiedzieli, że i dziecko musi jechać, lecz nie ma powodu do rozpacz, bo na pewno wkrótce wrócimy z powrotem. Zupełnie straciłam głowę. Najprzytomniejsza była Ewusia. Zabrała małą walizkę, włożyła trochę chleba, masła, flaszkę mleka dla Jacusia, dwa małe jaśki oraz koc. Chwyciła bluzeczkę i spodenki wiszące w kuchni na oparciu krzesła i ubrała go. Stasia podała płaszczyk i buciki,

mnie dała swój pled. Podawała, co było pod ręką. Andrzej, którego tatuś wysłał po papierosy, nie wiedząc o niczym wpadł na rowerze na podwórze jak przed chwilą Jacuś. Po paru minutach wyprowadzili męża z kancelarii. Przechodząc przez mieszkanie, zdążył narzucić kurtkę. Wyszliśmy na podwórze pod karabinami. Myślałam, że nas rozstrzelają, lecz zaprowadzili nas do dworu. Stało tam auto ciężarowe, to samo, które widziałam z ogrodu. Jakiemuś przechodzącemu robotnikowi Niemcy kazali przynieść wiązkę słomy, wrzucili do auta i załadowali nas. Czekaliśmy dość długo, zanim auto ruszyło. Komendant eskorty zwrócił się jeszcze do bauera i polecił mu „opiekę” nad naszym domem i Stasią.

### *Jeden dzień w Pustkowie*

Wieziono nas okrężną drogą przez Kolbuszową, Sędziszów, Dębicę do Pustkowa. W drodze mijaliśmy znajomych gospodarzy, którzy szeroko otwartymi oczami patrzyli w stronę szybko uciekającego auta. Dziecko nie miało nic na główce, wiatr rozwiewał jego jasne włosy. Nawet przytomna Ewusia w momencie chaotycznego pakowania się zapomniała o

czapeczce. Przed wjazdem do miasta zapytałam „znajomego” SS-mana, który dobrze mówił po polsku, czy możemy zatrzymać się przed naszym domem i zabrać coś na głowę dla dziecka. Porozumiał się z drugim i pozwolili. Andrzejek zeskoczył i przyniósł beret. Po drodze nie wolno mu było z nikim rozmawiać, był eskortowany i wrócił natychmiast.

W mieście widzieliśmy przerażone twarze znajomych. Przecież jeszcze dziś przed południem rozmawialiśmy z nimi.

Minęliśmy miasto, jechaliśmy przez pola, las i wsie. W miarę zbliżania się wieczoru robiło się chłodno. Wiatr rozwiewał nam włosy i przewiewał lekkie ubrania. Otulałam, jak mogłam, małego Jacka i starsze dzieci. Nie mogłam mówić, głowę miałam jakby ściśniętą obręczą, mocno zwarte szczęki, w ustach zupełnie sucho.

Mąż był na pozór spokojny, wodził po nas oczyma, ale wyzierała z nich świadomość nieszczęścia i grozy naszego położenia. Wiedziałam, iż myśli o nas, o tym, że nie jest w tej chwili sam, że jestem tu z nim ja i dzieci, a zwłaszcza mały Jacuś.

Jechaliśmy jakieś dwie godziny. Zrobiło się już ciemno. Minęliśmy Dębicę i skierowaliśmy się w stronę Bustkowa. Byłam tam

wiele razy. Wiele razy żołnierz na posterunku zatrzymywał naszą bryczkę, kontrolował kennkarty i przepuszczał bez rewizji. Znali nas już, znali wózek i konie leśniczego i nie przypuszczali, że przewozi nieraz rzeczy zakazane. Teraz nikt nas nie zatrzymywał — z daleka podniesiono już rogiatkę i auto wjechało na teren obozu wojskowego „SS Truppen Übungs-Platz Dębica”. Jeszcze kilka minut i minęliśmy bramę więźniów.

Tu auto zatrzymało się. Krótki rozkaz: „Wy siadać!” — i mimo że byliśmy już za drutami, pod eskortą zaprowadzono nas do jednego z budynków.

Weszliśmy do wąskiego, długiego korytarza. Kręcił się tu jakiś SS-man, który najwidoczniej nas oczekiwał i prowadzącym wskazał drzwi na lewo. W pokoju siedziało kilku Niemców; jeden przy maszynie do pisania. Był to protokolant. Sam komendant obozu, Czapla, siedział na rogu stołu. Ten Niemiec o polskim nazwisku, zapewne zgermanizowany Ślązak, mówił czystą polszczyzną.

Zwrócił się do męża: — Wie pan zapewne, dlaczego tu się znajduje z rodziną.

Mąż odpowiedział, że nie wie.

Wówczas Czapla rzucił pytanie: — Czy pan wie, że doktor Frączek, za którego ręczył pan głową, uciekł?

Mąż zaprzeczył i powiedział, że wprost mu się wierzyć nie chce, że Frączek nie mógł tego zrobić, wiedział przecież, za jaką cenę mógłby zdobyć wolność.

Siedzący przy maszynie Niemiec zwrócił się w pewnej chwili do mnie, odrywając wzrok od jakiegoś papieru podanego przez Czapłę.

— Heissen Sie Frączek...? — zapytał i czeka na imię. Odpowiedziałam, że to nie moje nazwisko, wymieniłam swoje i dodałam, że o niczym nie wiem i nie rozumiem, dlaczego ja i moje dzieci tu się znajdujemy.

SS-mann zwrócił się do Czapli, który kazał mu coś skreślić i w dalszym ciągu sam przeprowadzał indagację, rzucając pytania mężowi i mnie.

Był przekonany, że ucieczkę zorganizowano z zewnątrz i że mój mąż brał w tym udział. Mąż zapewniał, że o niczym nie wie, że taka myśl nie powstała w jego głowie, że gdyby wiedział, to przecież by się ukrył. Zeznaliśmy też, iż od dłuższego czasu, bodajże od miesiąca, nie mieliśmy kontaktu z Frączkiem, gdyż wszyscy byliśmy zdrowi i nikt z nas do lekarza nie jeździł.

Ponieważ sądzili, że Kasia Frączkowa mieszka u nas, zaarrestowali męża i mnie z dziećmi w przekonaniu, że mają w ręku gwaranta oraz najbliższą rodzinę zbiegłego

więźnia.

Zaprotokołowali nasze odpowiedzi, po czym Czapła orzekł, że za późno jest dziś dzwonić do generała, który wydał rozkaz aresztowania. Powiedział, że jeżeli szwagra nie znajdą, mąż odpowie głową, zresztą tak czy owak nasza sprawa rozstrzygnie się jutro.

Wreszcie wyprowadzono nas z tego budynku. W drodze oddzielono męża od nas i, jak się na drugi dzień dowiedziałam, zamknięto go w trupiarni. Nas zaprowadzono do małego szpitalika kobiecego. Lokował nas sam Czapła. Nie umieścił nas w żadnym z zatłoczonych bloków. Do mnie odnosił się uprzejmie, spoglądał na drepcące małe dziecko, do którego, wyczułam to intuicyjnie, poczuł sympatię.

Od Kasi wiedzieliśmy, że korzystał z pomocy lekarskiej jej męża i bardzo go lubił, co okazywał, gdy spotykali się w cztery oczy. Możliwe, że nie było to bez wpływu na jego stosunek do mnie i moich dzieci. Zbudził dyżurną więźniarkę, panią Duszową, która opiekowała się chorymi na sali kobiecej, i polecił jej zająć się nami.

Pani Duszowa była to osoba w średnim wieku, z zawodu akuszerka spod Rzeszowa. Zaopiekowała się nami, a dziecko wzruszyło ją do łez. Było zmęczone, głodne

i śpiące. Mimo iż miało dopiero cztery latka, rozumiało-, że stało się coś niedobrego, a ze strachu czy z nadmiaru wrażeń nie chciało nic jeść.

Czapla odchodząc uspokajał nas, zapewniał, że zrobi dla mnie i dzieci, co będzie mógł. Wreszcie zamknąwszy za sobą drzwi, oddalił się. Po jego odejściu Jacuś usnął, a my z panią Duszową rozmawiałyśmy jeszcze bardzo długo w nocy. Ja płakałam, ona mnie pocieszała. Po zapewnieniach Czapli żyłam chwilę nadzieją, która szybko zgasła, bo rozpacz z powodu męża rozdzierała mi serce.

Rano drzwi otworzył sam Czapla. Rzucił okiem i odszedł. Wnet zaczęły się schodzić kobiety do lekarza na badanie i opatrunki.

Lekarzami wewnątrz obozu byli: dr Józef Tkaczow z Boguchwały koło Rzeszowa i Aleksander Grocholski, Wielkopolanin, którzy, jak mi mąż na widzeniu powiedział, byli już starymi więźniami.

W tym dniu były tylko dwie ciężko chore kobiety. Obie pobito na przesłuchaniach, jedna nie mogła leżeć ani siedzieć, wiła się z bólu i mówiła od rzeczy. Wyglądała na obłąkaną, a zachowanie jej w następnych dniach wskazywało na to, że rzeczywiście straciła zmysły. Była to młoda dziewczyna, nie zapamiętałam jej nazwiska.

Pamiętam Basię Kazechubę, aresztowaną kilka dni przed nami w Kolbuszowej razem z Marysią Gródecką. Basia, młoda, wysoka, bardzo szczuplutka, wyglądała podobnie jak ta pobita. I ona także zachowywała się, jakby była chora umysłowo. Ujęto ją z bronią w rękę podczas walki i miała wyrok śmierci. Z Ravensbrück wkrótce została wywieziona na transport, a może została rozstrzelana...

Po wizycie lekarskiej było jakieś śniadanie. Zdaje się, że Jacuś coś zjadł, ja nie mogłam nic.

Koło godziny ósmej wyszłam i zobaczyłam lager: kilka baraków, w jednym pomieszczenie dla kobiet, w innych szwalnie i pralnię, poza tym baraki męskie, odgródzone od kobiecych niskim płotkiem. Obóz był ogrodzony drutem kolczastym, ponad którym górowały wieżyczki strażnicze.

Pośrodku znajdował się ogromny plac obozowy, na którym odbywały się apele. Po drugiej stronie placu, vis à vis naszego szpitalika, była trupiarnia, w której zamknięty był mój mąż. Po śniadaniu otwarto ją i pozwolono mu wyjść na powietrze. Poznałam go po ubraniu i ruchach, rysów rozpoznać nie mogłam, bo dzieliła nas duża przestrzeń.

Pokazałam Jacusiowi, że stoi tam jego



tatuś. Dziecko nie namyślało się długo i pędem przez płotek i duży plac pobiegło do ojca. Patrzyłam. Tylko jasna czuprynka fruwała na wietrze. Jeszcze kilkanaście kroków i wpadł w objęcia ojca. Był tam dość długo, a potem jeszcze kilka razy w ciągu dnia.

SS-mani patrzyli na to przez palce. Zaczynało im być gorąco, lager pakował się i szykował do ewakuacji. Więźniowie, jak mogli, okazywali nam współczucie. Dziecko ich wzruszało i rozczulało. Wielu z nich od długiego czasu nie widziało swych małych dzieci, sióstr, braci. Natychmiast znalazły się i zabawki. Kobiety obdarowywały Jacusia i płakały, wspominając swoje dzieci pozostawione w domu, dawno nie widziane. Zagadywały do niego, podnosiły do góry, całowały. Jacek, początkowo grzeczny i uległy, wkrótce zaczął objawiać zupełną obojętność na te czułości, a nawet bronił się, jak mógł.

Okolo południa przyszedł komendant Czapla z jakimś oficerem i powiedział mi, że wszczęli poszukiwania Kasi Frączkowej, a ponieważ dotychczas jej nie znaleźli, załatwienie naszej sprawy odwleka się. Wiedziałam, że jej nie znajdą, i zrozumiałam, iż sprawa nie tylko się odwleka, ale i komplikuje.

W obozie zaczynało wrzeć. Ze szwalni

wynoszono i pakowano maszyny, na których jeszcze przed południem kobiety szyły; zajeżdżały auta, na które pakowano magazyn obozowy.

Czas zaczął teraz szybko uciekać. Nerwowe podniecenie udzieliło się wszystkim. Wieczorem pozwolono na chwilę widzenia. Podobno<sup>1</sup> widzenia takie były w tym obozie co jakiś czas. Matki, synowie, mężowie, żony, znajome, będące w tym samym obozie, mogli się spotkać i porozmawiać przez kilkanaście minut, naturalnie w obecności SS- manów.

Cała duża sala w kobiecym baraku wypełniła się kobietami i mężczyznami. Przybył także i mój mąż. Rzuciliśmy się sobie w objęcia, mówiliśmy coś do siebie jedno przez drugie. W pewnym momencie mąż szepnął mi, iż całe szczęście, że chodzi tu tylko o Józka. Gorzej, gdyby zarzuty były innej natury. Nie rozumiałam, o co chodzi, a na wyjaśnienia nie było czasu. Chwila widzenia była bardzo krótka i już kazano się żegnać.

Następnie rozdawano nam chleb w całych bochenkach na drogę. Było nas czworo, więc otrzymałam cztery bochenki. Mieliśmy jeszcze swój chleb z domu, garnuszek masła oraz ciastka i cukierki, które otrzymały dzieci już tu, od

więźniarek. Ewusia wszystko pakowała i przygotowywała do drogi. Nastął wieczór. Jedne kobiety kładły się spać, inne chciały się zobaczyć z mężczyznami, którzy wypełniali plac w pobliżu kobiecego baraku. Kobiety przerzucały im chleb, dużo chleba. Wiele kobiet było dobrze zaopatrzonych na drogę dzięki paczkom otrzymanym od rodzin. Ułożyłam dzieci do snu, sama nie kładłam się, chodziłam i siadałam, chwilami drzemałam. Noc była wielce niespokojna. Ciągłe ktoś przekradał się koło zamkniętego baraku, słychać było kroki, stukanie i przyciszone nawoływania. Ciszę nocną przerywały pojedyncze strzały i krótkie serie karabinów maszynowych. Kobiety mówiły, że to egzekucja likwidująca zbędnych przed marszem, co, jak się potem okazało, odpowiadało prawdzie, inne łudziły się, że to może przednie\* strażę radzieckie lub jakaś akcja. Front był blisko, wiedziałyśmy o tym, świadczyła też o tym ewakuacja i nerwowość Niemców. Niektóre z nas miały nawet nadzieję, że nas może nie wywiozą, nie zdążą i obóz zajmą Rosjanie.

### *Podróż w nieznane*

Była jeszcze ciemna noc, gdy zarządono

pobudkę i zaczęto dawać lurę podobną do kawy. Drżeliśmy z porannego chłodu i zdenerwowania. Trzęsłam się jak w febrze i ubierałam dziecko zbudzone w ostatnim momencie. Raz po raz Jacuś kładł główkę na moim ramieniu. W końcu rozbudził się i ze strachem przyglądał się wszystkiemu, co się działo dokoła. Zrobił się już dzień, gdy zaczęto nas ustawiać. Najpierw na placu odbył się apel mężczyzn, a następnie ustawiano ich w piątki i grupy.

Zdenerwowana, pomna nocnych strzałów, szukałam wzrokiem swego męża. Odetchnęłam z ulgą, gdy zobaczyłam go w okolo dwutysięcznej grupie mężczyzn. Wyróżniał się i odbijał od reszty jasną koszulą i własnym ubraniem, a także nie zgoloną jeszcze czupryną. Stał w szeregu i trzymał w ręce jakieś zawiniątko.

Po pewnym czasie zabrano ode mnie Andrzejka i dołączono go do mężczyzn. Sąsiad męża odstąpił mu miejsce i teraz stali tuż obok siebie. Nie rozpaczalam z powodu tej rozłąki, pomyślałam, że tatuś mając Andrzejka przy sobie nie będzie taki samotny, w synu będzie miał towarzysza najbliższego sercu i pociechę.

Były to już ostatnie chwile, kiedy pod stopami mieliśmy polską ziemię. Padł rozkaz wymarszu i kolumny więźniów ruszyły w milczeniu. Przed nami długi

sznur mężczyzn objuczonych tobołkami, walizkami i kuferkami. W ostatniej piątce szedł tatuś z Andrzejkiem. Za nimi kobiety, a ja z Ewusią i Jackiem w pierwszej piątce.

Było nas sto siedem kobiet i dziecko. Jedne szły smutne, że nadzieja na wyzwolenie zawiodła, inne cieszyły się z ewakuacji, uważając ją za zwiastuna końca wojny i bliskiego wyzwolenia. Te optymistki nie wiedziały jeszcze, że idziemy wszyscy na długą poniewierkę po niemieckich lagrach na niemieckiej ziemi. Swoją wiarą w przegraną Niemiec i bliskie wyzwolenie podtrzymywały na duchu te, które we wszystko zwątpiły.

Z obozu Pustków do stacji Kochanówka, chociaż nie było to daleko, droga dłużyła się, ludzie byli obciążeni tobołkami, przy tym robiło się coraz cieplej. Słoneczko złociło nam drogę, ostatnią w Polsce. Niebo było czyste, bezchmurne, wokoło spokój letniego poranka. Szliśmy bardzo powoli, jedna piątka za drugą. Na polach zaczęli pojawiać się ludzie przystępujący do żniw. Tu i ówdzie stały kopice zżętego zboża. Ludzie przystawali i przyglądali się niezwykłemu pochodowi.

Co kilkanaście kroków z obu stron kolumn szli żołnierze z karabinami, bacząc, by nikt się nie wysunął i nie uciekł w zboże.

Patrzyłam na to wszystko i łykałam łzy.

Dziecko dreptało obok mnie na małych nóżkach i dźwigało swój tobołeczek. Wiedziałam, że Jacuś jest głodny, bo rano nie chciał jeść, nie nawykły do gliniastego chleba i czarnej gorzkiej kawy. Niedaleko stacji skarżył się na pragnienie. Było gorąco. Dziecko pociło się. Wykorzystałam moment, kiedy stanęliśmy na odpoczynek, i poprosiłam najbliższego żołnierza, by zdobył odrobinę mleka dla małego w pobliskich domach. Potem dopiero zrozumiałam, jaka byłam naiwna. A jednak poszedł, lecz wrócił z niczym. Dla Niemca mleka nie było. Spragnione dziecko zrozumiało widocznie sytuację, bo zamilkło.

Znów ruszyliśmy naprzód i wkrótce znaleźliśmy się na stacji. Tu dopiero spoceni i zmęczeni ludzie zaspokajali pragnienie. Staliśmy dość długo przy torach, zanim zaczął się załadunek do bydłowych wagonów. Wzdłuż bardzo długiego pociągu w ciasnym pasie pomiędzy torami stali i chodzili więźniowie. Nie wolno było oddalać się. Pilnowano nas dobrze. Tatuś z Andrzejkiem byli po drugiej stronie pociągu. Szukaliśmy się wzajemnie i znaleźliśmy się. Rozmawialiśmy między buforami wagonów, a gdy musieli zmieniać miejsce, szukałam ich schylając się pod wagony. Poznawałam ich po nogach.

Mąż zmizerniał bardzo, schudł przez ten krótki czas i zzółkł. Oczy zostały tylko te same, błyszczwały zaciętością i uporem. Gdy do mnie mówił, łagodniały. Okłamywał mnie, że wkrótce wszystko się wyjaśni, pocieszał, jak mógł.

Załadowano nas po kilkadziesiąt do jednego wagonu na gołe deski. Ludzie tłoczyli się ze swoimi tobołkami, których nie było gdzie położyć ani na czym powiesić. Wagony wizytował sam Czapla i polecił mnie i dzieci ulokować w wagonie o największych oknach. Otrzymałam pod oknem kąt o powierzchni pół metra kwadratowego-.

Przed odjazdem z Kochanówki pożegnała nasz transport Polska Opieka Społeczna w osobach księżnej Jabłonowskiej i pań, które za zgodą Niemców miały w opiece obóz w Pustkowie. Dostarczały więźniom żywności i interweniowały, gdy było to możliwe. Kiedy dowiedziały się, że w wagonach jadą i dzieci, postarały się o mleko i bułki.

Przez zakratowane okienko z trudem zdołałam im podziękować i rzucić kilka informacji — kim jesteśmy i skąd — oraz poprosić, aby o naszym losie poinformowały rodzinę.

Ruszyliśmy w drogę. Przez pięć dni i

nocy, stojąc lub siedząc w kucki, jechałam na miejsce przeznaczenia. W natłoczonym wagonie panowała stale walka o lepsze miejsce, lecz mnie ze względu na dzieci pozostawiono w spokoju. Niektóre kobiety starały się mi pomóc. Tosia Gadzinówna ze Strzyżowa ofiarowała swój koc dla Jacusia, inne pozwoliły mi usiąść na swoich tobołkach, gdy trzymałam na rękach śpiące dziecko.

Pierwszym dłuższym postojem był Oświęcim, gdzie nas nie przyjęto, bo podobno, według zapewnień komendanta transportu, Czapli, byliśmy ludźmi zdrowymi i zdolnymi do pracy. Jeżeli to prawda, należy zapisać to na jego dobro, gdyż gdyby nas tu pozostawiono, transport poszedłby do gazu. Kilka godzin ważyły się nasze losy na tej bocznicy kolejowej, z której zazwyczaj nie było odwrotu. Zezwolono na otwarcie drzwi wagonu, z których jak gdyby na makabryczną pociechę mieliśmy widok na świat obozowy.

Nie kończące się bloki baraków z łaźnią na bliskim planie, do której wchodziły na wpół nagie kobiety popędzane przez SS-maków. Przed jednym z baraków widzieliśmy kobiety klęczące na mokrej po deszczu ziemi z rękami wzniesionymi do góry. Patrzyliśmy, jak te,, które w tej



pozycji wytrwać nie mogły i padały w błoto, szczerzo psami.

Odetchnęłam z ulgą, gdy w końcu wycofano nas z bocznic i pociąg ruszył dalej.

Na niektórych postojach pozwalano kobietom wychodzić z wagonów i rozprostować kości, mężczyznom nie, bo były wypadki ucieczki. Po pierwszej ucieczce Czapla obchodził wagony i ostrzegał, że skończy się to źle dla wszystkich. Na jednej stacji zawiadomił nas, że za zbiegłych pięciu więźniów kilku innych zostanie powieszonych.

Ucieczki organizowano w ten sposób, że mężczyźni odrywali deski w podłodze wagonu pędzącego pociągu, wciskali się w tak utworzony otwór i skakali na podkłady kolejowe.

Już po dwóch dniach drogi dziecko zaczęło słabnąć z braku powietrza i ruchu oraz złego odżywiania. Oczka miał wpadnięte, podkrążone, był blady i dokuczała mu obstrukcja. Trzymałam go na rękach i wpatrywałam się ze strachem w jego bledziutką twarzączkę.

Sama miałam dolegliwości żołądkowe i czułam, że słabnę w miarę, jak mijają dni. Atmosfera stawała się coraz bardziej ciężka i przytłaczająca. Potrzeby naturalne załatwiano w wagonie, używając do tego celu

puszek po konserwach lub pudełek zdobywanych na postojach.

Ostatkami sił i woli i przy pomocy Ewusi trzymałam się, prosząc Boga, aby nareszcie ta jazda się skończyła. Bezustannie wpatrywałam się w dziecko słabnące z każdym dniem i zaczynałam się obawiać, czy dowiozę je żywe do miejsca przeznaczenia.

Na jednej ze stacji zobaczyłam, że Jacuś jest wyczerpany do granic wytrzymałości. Wydawało się, że umiera. Cierpiałśmy na zupełny brak wody, w całym wagonie nie było ani kropli. Przy zadrutowanych okienkach kobiety stawały na palcach i chwytaly powietrze jak ryby wyrzucone z wody. W wagonie panował niesamowity upał i zaduch.

Wzdłuż naszego pociągu z rzadka przechodzili cywile zdążający na peron, między innymi jakaś Niemka bardzo elegancko ubrana, w zaawansowanej ciąży. Któraś z kobiet zwróciła się do niej z prośbą o trochę wody dla chorego dziecka, które jedzie z matką w tym wagonie. Niemka przystanęła, jak gdyby nie dowierzając, wówczas podniosłam dziecko do góry i pokazałam je w okienku. Jacuś był bledziutki jak trupek. Odwróciła się szybko i odeszła, a po chwili wróciła niosąc wodę z sokiem.

Kiedy butelka znalazła się już w wagonie, do kobiety podszedł SS-man i

spoliczkował ją. Bił nie bacząc na to, że jest ona w poważnym stanie. Upadła na tor, poderwała się, rzuciła mu w twarz jakieś ciężkie słowa i szybko się oddaliła. Przeszła przez kilka torów i obserwujące kobiety straciły ją z oczu, bo na szczęście oddzielił ją od SS-mana wjeżdżający na stację pociąg.

Na dobitkę w naszym wagonie wybuchały często swary. Osoby bardziej bezwzględne i egoistyczne rozciągały się na całą długość ciała, próbując w ten sposób odpoczywać i spać. My z Ewusią spałyśmy nocą, siedząc z podkurczonymi pod brodą kolanami, na zmianę trzymając dziecko na rękach. Na kłótniach i docinkach minęła reszta ostatniej nocy. Rano, po pięciu dniach podróży, dobrnęłyśmy widocznie na miejsce przeznaczenia, bo kazano nam wysiadać.

Był 1 sierpnia. Dzień wstał chłodny i mglisty. Pociąg zatrzymał się na dworcu kolejowym w Sachsenhausen na bocznicy. Krzyżowały się tu tory przecinające drogę, a raczej ulicę podmiejską, przy której stały domy.

Po chwili zobaczyłam Andrzeja z tatusiem. Pozwolono im podejść do nas, jeden z SS-manów powiedział nawet, że, być może, umieszczą nas razem. Niektóre kobiety ponosiła fantazja — mówiły, że są

tu na pewno obozy dla rodzin. Mąż zmienił się bardzo, widziałam, jak męczyło go to, że nie może nam pomóc. Schudł jeszcze bardziej i szerniał, twarz mu się wydłużyła. Tylu ludziom uratował życie, a teraz on sam wraz z rodziną znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Tymczasem SS-mani zaczęli ustawiać mężczyzn w kolumny. Tatuś i Andrzej byli jeszcze z nami. Niestety nie trwało to długo. Podszedł SS-man i zabrał męża, do załatwienia jakichś formalności, jak wyjaśnił. Mąż nie pożegnał się nawet z nami, tak jakby naprawdę odchodził na chwilę. Lecz już nie wrócił, pozostał w obozie w Sachsenhausen. Tym razem rozdzielono nas na długi, długi czas.

Kolumny męskie odeszły, zostały tylko kobiety. Pilnowane przez posterunki rozłożyłyśmy się na jakimś placu ogrodzonym kolczastym drutem i zaczęłyśmy rozglądać się za wodą. Po podróży byłyśmy brudne, każda pragnęła obmyć twarz i ręce. Do zjedzenia dostałyśmy po kawałku chleba, plasterku krwawianki i porcji margaryny. Dla dziecka dostałam podwójną porcję — cóż z tego, kiedy jeść nie mogło.

Drogą, która biegła obok, przejeżdżali i przechodzili cywile, patrzyli na nas i dzieci. Jakiś starszy Niemiec jadący rowerem

wiózł w bańce mleko. Mimo iż nie wolno było zbliżyć się do nas, zsiadł z roweru, napełnił pokrywkę bańki mlekiem i zawołał dziecko. Jacuś podszedł do drutów i wypił wszystko. Jakże byłam wdzięczna temu człowiekowi za jego dobre serce!

Po kilku godzinach ustawiono nas piątkami i zaprowadzono na stację kolejową. Tym razem nadjechał pociąg osobowy, załadowany ludnością cywilną, z kilkoma pustymi przedziałami zarezerwowanymi dla nas. Kazano wsiadać. Teraz już nie jak bydło, ale za to jak śledzie w beczce jechaliśmy do osławionego obozu kobiecego w Ravensbrück.

Kobiety opowiadały między sobą, że to straszny obóz, zbudowany w niezdrowej okolicy, na bagnach, że mało kto wychodzi stamtąd żyw. Trzymałam dziecko na kolanach, wyglądałam przez okno i badałam wzrokiem okolice. Któraś z kobiet mówiła, że samo powietrze tu zabija.

Krajobraz był dość monotony. Za oknami wagonów przesuwały się pola, lasy, domy i ludzie. Przed domami tu i ówdzie widziałam bawiące się dzieci. Pocieszałam się myślą, że jeżeli dzieci niemieckie bawią i chowają się zdrowo, to nie może być tu tak źle.

Podróż nie trwała długo, może godzinę,

może dwie. Wyszliśmy na stacji w miasteczku Fürstenberg. Tu czekali na nas SS-mani z psami. Ustawiono nas znowu piątkami i ruszyliśmy.

Nasz bagaż, który był dosyć ciężki, dźwigała Ewusia z Andrzejkiem, a ja prowadziłam za rączkę Jacusia. Nie mógł nadażyć, biegł prawie. Co chwilę brałam go na ręce i niosłam, ale było to ponad moje siły. Gdy stawiałam go na ziemię lub brałam na ręce, zostawałam w tyle, podchodził wówczas SS-man i popędzał minie. Szliśmy przez ulice miasteczka, a ludzie przyglądali się naszemu pochodowi. Jak się później dowiedziałam, był to dla nich zwyczajny widok, do którego przywykli. Jeżeli w dzisiejszym ich coś dziwiło, to chyba małe jasnowłose dziecko drepczące obok matki. Nie wiem, jaka odległość dzieliła nas od obozu, chyba trzy, cztery kilometry.

Droga dłużyła się, opadałam z sił. W drodze lunął deszcz i zmoczył nas do ostatniej nitki. W końcu dobrnęliśmy na miejsce.

### *W Ravensbrück*

Ze zgrzytem otworzyła się jakaś brama, jedna, potem druga. Przypomniał mi się Pustków i Oświęcim, i jego piekielna brama z hasłem „Arbeit macht frei”. W uszach

ludzi przekraczających owe progi zgrzyt ten brzmiał jak diabelski chichot, którego nigdy zapomnieć nie można.

Od momentu gdy bramy zamknęły się za naszym transportem, staliśmy się mieszkańcami osławionego Ravensbrück, w którym podobno „samo powietrze zabija”.

Myślałam o tym, co się stało, ze zgrozą i strachem patrząc na dzieci, które mają teraz żyć w tym świecie numerowanych ludzi skreślanych z listy żyjących, tak jak skreśla się bezduszną cyfrę, gdy temu, kto ją nosi, zabraknie chleba i sił. Aby pojąć to, co czułam, trzeba mieć przy sobie troje dzieci i widzieć je, jak zawieszony pomiędzy życiem i śmiercią patrzy w oczy bezsilnej matki i garną się do niej z ufnością.

Jednak człowiek wiele może przeżyć i wycierpieć. Jak automat poddawałam się rozkazom i siliłam się na spokój i opanowanie.

Wkrótce dostałyśmy nasz pierwszy obiad w Ravensbrück. Przywieziono kotły z kapustą i cebry z ziemniakami w łupinach, po czym rozdano nam duże czerwone miski i drewniane łyżki. Ze względu na dzieci otrzymałam jedzenie jako jedna z pierwszych. Dano mi też nie kilka, lecz kilkanaście ziemniaków. Był to pierwszy serdeczny odruch więźniarek, z jakim spotkałam się po zatrzaśnięciu za nami bram tego

piekła.

Kapusta wyglądała ponętnie, pływały po niej jakieś oczka, ale dla nie nawykłych do takiego jedzenia była okropna. Mimo że byłam głodna, nie mogłam jeść. Ziemniaki były też nie lepsze, stare, szerniałe i zimne. Miałam wprawdzie chleb i masło, ale nie chciałam tego ruszać i chowałam dla dzieci. Andrzej zjadł wszystko, co dostał, Ewusia także trochę, Jacuś wypił kilka łyżek kapuścianego płynu i zjadł nieco ziemniaków.

Po obiedzie skierowano nas do łaźni. Przeszliśmy kilkadziesiąt kroków i zatrzymałyśmy się w pobliżu budynku, w którym się mieściła. Kręciły się tu jakieś kobiety w pasiakach z czerwonymi opaskami. Jedna z nich podbiegła do dziecka i zasypała go gradem pytań.

Były to więźniarki — policjantki, mające za zadanie utrzymanie porządku wewnątrz obozu. Jak w każdej masie ludzkiej, były wśród nich złe i uczciwe. Były takie, które pomagały, i takie, które szkodziły. Przekonałam się o tym później, i w czasie naszego pobytu w obozie.

Wprowadzono nas do badu. Była to ogromna łaźnia, w której mogła się pomieścić duża ilość kobiet. Przed nami kąpał się tu krakowski transport z więzienia na Montelupich. Kobiety z tego transportu, które się nie zmieściły w badzie poprzednio,



czekały na swoją kolej razem z nami. Były zmęczone i wyczerpane do ostatnich granic, podobnie jak i my.

Policjantki mające służbę w badzie otoczyły Jacusia i po polsku i po niemiecku dopytywały się, skąd pochodzi, gdzie jego mamusia, tatuś, jak się nazywa. Jacuś odpowiadał rezolutnie, wskazywał mamusię i rodzeństwo.

Niektóre policjantki doradzały mi, aby przed kąpielą dać im na przechowanie takie rzeczy jak żywność lub przedmioty wartościowe, o ile je posiadam. Oddałam więc chleb i masło, sądząc, że je później odbiorę. Niestety, nic mi nie oddały.

Wreszcie weszliśmy do łaźni. Kazano nam się rozebrać. Wprowadzono nas do małej sali na badanie ginekologiczne. Szukano biżuterii. Musiałyśmy rozpuścić włosy. Rozczesywano nam je i gdy któraś miała wszy lub gnidy, strzyżono do gołej skóry. Po tych zabiegach przechodziłyśmy do wielkiej sali, gdzie po raz pierwszy od wielu dni można było się umyć pod prysznicem.. Woda spływała obficie i była ciepła. Okna były pootwierane na przestrzał. Kobiety różnego wieku, młode i stare, ładne i brzydkie, a wszystkie jak Pan Bóg stworzył, stały pod strumieniami wody i myły się. Widok był brzydki. Myłyśmy się wraz z kobietami z innych transportów. Te,

które tu przybyły z innych obozów, były wygłodzone, chude jak szkielety, inne znów otyłe, brzuchate, z obwisłymi piersiami. Młode i ładne gubiły się w tej masie fizycznej nędzy. Kąpiel odbywała się w towarzystwie przyglądających się SS-manów. Wśród tych nagich ciał kobiecych był mój biedny trzynastoletni Andrzej i mały Jacuś. Kąpiel nie trwała długo, a po umyciu podchodziło się do długiego stołu, gdzie więźniarki rozdawały ręczniki — małe kwadratowe szmatki w niebieską kratkę, oraz mydło-glinę. Tak wyekwipowane podchodziłyśmy do innego stołu, gdzie rozdawano obozowe ubrania. Dostałam koszulę płócienną i niebieską aksamitną suknię o wiele na mnie za dużą, z bardzo długimi rękawami. Wyglądałam w niej jak zapustny przebieraniec, lecz jak mnie poinformowano, byłam uprzywilejowana ze względu na dzieci. „Lepiej dostać aksamitną niż batystową, bo na apelach rannych jest zimno, a na razie nic więcej z odzieży nie będzie wydawane”. Obóz w tym czasie zapełniał się wieloma tysiącami kobiet i brakowało pasiaków. Ubierano więźniarki w ubrania po zmarłych i likwidowanych. Na plecach wycinano, szerokie pasy w kształcie litery X i wstawiano w wycięcie inny materiał. Ja na plecach swej aksamitnej sukni miałam, wszyte pasy

z czerwonej markizety. Na apelach wiało przez nie i było zimno. Radziłam sobie później w ten sposób, że na plecy podkładałam papier z worka. Nie pamiętam już, jak ubrana była Ewusia. Andrzejek i Jacuś otrzymali z powrotem swoje rzeczy, bo chłopięcych i dziecięcych ubrań nie było. Jacuś wrócił do swojej różowej koszulki uszytej przez więźniarki jeszcze w Pustkowiu. Uszyta była z damskich majtek, pozaszywana na przodzie, bo nie było zatrzasek ani guzików. Robiły to nocą, w pośpiechu, bo przyjechał na wpół ubrany. Dostał też z powrotem swój płaszczyk. Kobiety wykorzystywały to i chcąc ratować swoje cenniejsze drobiazgi wkładały mu do kieszonek pierścionki i łańcuszki. Ja sama na to nie wpadłam i moja obrączka ślubna oraz pierścioneł powędrowały do grubej koperty „w depozyt”. Znowu uszeregowano nas piątkami i odmaszerowałyśmy na lager.

### *Kwarantanna*

Prowadzono nas na kwarantannę. Idąc, rozglądałyśmy się po obozie. Był duży, zabudowany gęsto barakami pomalowanymi na zielono. Robił wrażenie czystego. Przecinały go trzy ulice. Główna nazywała się Lagrowa. Na niej odbywały się apele.

Przed każdym barakiem i były długie, wąskie trawniki. Przejścia między barakami

wysypane były żużlem. Doprowadzono nas do bloku 24, przeznaczonego na kwarantannę. Dzielił się on na dwa skrzydła, każde miało swoją sypialnię i jadalnię. Jak się wkrótce dowiedziałam, w mowie potocznej skrzydła bloku nazywano „A Seite” i „B Seite”. W sypialniach były łóżka trzypiętrowe, bardzo gęsto ustawione.

Do czasu naszego przybycia kobiety sypiały pojedynczo. Teraz sypiały po dwie na jednym łóżku, co przedtem było surowo karane. Dla nas czworga otrzymałam dwa łóżka przy oknie. Do sypialni wchodziłyśmy boso.

Wieczorem rozmawiałyśmy trochę; kobiety, które się znały, zamieniały się miejscami, by być obok siebie. Około godziny dziewiątej wieczorem głośne rozmowy przerywały okrzyki policjantek wołających: „Lagerruhe!”

Z wolna rozmowy przechodziły w szepty, a potem w ciszę przerywaną kaszlem, sapaniem i westchnieniami tych, które nie spały. Byłam jedną z nich, słuchałam tych nocnych odgłosów. Myślałam o tym, co się dzieje z mężem.

Dzieci usnęły dość szybko. Jeszcze długo, długo leżałam z otwartymi oczyma i w końcu zasnęłam. Obudziłam się o świcie. Wkrótce była pobudka i pierwszy apel

przed naszym blokiem. Kobiet z kwarantanny na apel na Lagrową nie pędzono. Na tym apelu poznałam osoby „pierwsze po Bogu” w społeczności obozowej koncentraka: aufzejerkę, blokową i sztubową. Ustawiały nas w długą kolumnę „zuzehn” z kryciem i równaniem dla łatwiejszego rachunku.

Był bardzo wczesny ranek i przejmujący chłód, kurczyłyśmy się z zimna. Stałyśmy tak dość długo, obchodzono nas wokoło, liczone, nawoływano.

Słońce było już dość wysoko, gdy puszczono nas na blok z rozkazem, by absolutnie żadna nie oddalała się, bo jest kwarantanna. Na śniadanie była letnia i gorzka czarna kawa.

Jeszcze przed wyjściem na apel każda z nas musiała zaścielić swoje łóżko. Do sypialni można było wejść dopiero wieczorem. Zatrzymano nas teraz w jadalni, tagesraumie, i tu, stłoczone jedna przy drugiej, musiałyśmy stać, gdyż stołków było kilkanaście, a nas ponad trzysta.

Zaczęła się udręka kwarantanny. Kilka więźniarek poszło myć podłogę w sypialni i za tę pracę dostały w południe jedną chochlę zupy więcej. Stojąc lub siedząc w kucki, przetrwałyśmy do wieczora, do chwili gdy znowu wpuszczono nas do sypialni. Męczyłyśmy się bardzo, bo dzień

był upalny, a w pomieszczeniu duszno. Wyjść mogłyśmy tylko do umywalni, gdzie wzdłuż ścian umieszczone były umywalki z bieżącą zimną wodą, pośrodku baseny do mycia naczyń. Z konieczności często mijały się one z przeznaczeniem i były używane do prania, a nawet do mycia. W ciągu dnia kobiety opowiadały swoje przeżycia, narzekały, przeklinały, pogodniejsze dowcipkowały. Jakaś młoda Jugosłowianka zaczęła śpiewać. Śpiewała tak pięknie i rzewnie, że wszystkie się uciszyły. W ten sposób spędziłyśmy wiele, wiele dni.

Któregoś dnia rozkazano nam wyjść przed blok i popędzono nas piątkami na rewir (szpital obozowy) do badania lekarskiego. Odbywało się ono między barakami szpitalnymi. W skład komisji lekarskiej wchodził lekarz, siostry ze znakami Czerwonego Krzyża i SS-mani. Kazano nam rozebrać się do naga, łachy wziąć pod pachę i pojedynczo podchodzić do komisji. Andrzej, jedyny chłopiec w tej masie nagich kobiecych ciał, był wyraźnie zażenowany. Tylko Jacuś potraktował wszystko jak zabawę. Golutki biegał wokoło i poklepywał swoje sąsiadki. Stałam w pierwszej piątce. Czułam się strasznie, jeszcze gorzej niż w badzie. Kłuły mnie ironiczne, pogardliwe spojrzenia SS-manów. Gęsiego podchodziłyśmy na

palcach i otwierały usta przed lekarzem i siostrami, które zaglądały do gardła. Po tym „badaniu” można było się ubrać i odmaszerować. Może liczyli, ile kto ma złotych lub platynowych zębów, gdyż od czasu do czasu coś notowali. Wróciliśmy na blok.

Na bloku tym przebywałyśmy około czterech tygodni. Szybko opanowałyśmy słownictwo obozowe, w którym jednym z najpospolitszych było określenie „organizować”. „Organizowanie” polegało na zdobywaniu przez więźniarki dodatkowego jedzenia, odzieży czy bielizny. Jeżeli więźniarka zdobyła coś w czasie pracy w magazynach, w kuchni z rzeczy niemieckich, to „organizowanie” takie było chwalebne, natomiast kradzież wśród towarzyszek niedoli traktowana było bardzo surowo. Niestety zjawisko to nie należało do rzadkości. Ludzie ratując się od śmierci głodowej nie przebierali w środkach. Fama o małym dziecku rozeszła się po całym lagrze. W południe i wieczorem kobiety z różnych bloków podchodziły pod nasz barak, prosząc, by im pokazać dziecko. Podnosiłam Jacusia do góry i pokazywałam przez okno, aż bolały mnie ręce. Zainteresowała się nami Adela Drygalska z Dąbrowy Górniczej, która gotowała dla blokowej na tym bloku. Nazwiska blokowej nie pamiętam, ale ją samą bardzo dobrze.

Była to młoda, ładna i energiczna funkcyjna. Zachowanie jej wobec współtowarzyszek niedoli pozostawiało wiele do życzenia, była ostra i bezwzględna. Ada gotowała dla niej specjały z produktów „organizowanych” przez blokową w jakiś podejrzany sposób. „Okradała” ją litując się nad dzieckiem i przez cały czas kwarantanny Jacuś dostawał coś lepszego do zjedzenia. Jeszcze przez kilka miesięcy pamiętała o nim, przynosząc mu często różne rzeczy, które mogły go ucieszyć.

### *Blok 14*

Po kwarantannie przeniesiono nas na blok 14. Blokową tu była młoda Luksemburka, sztabowymi dwie Polki: Halina, szwagierka któregoś z polskich generałów, i Mila, szczupła, młoda dziewczyna. Były to już stare więźniarki znające wszystkie obozowe chody, a zatem umiejące sobie radzić. Były dobrze ubrane, dobrze wyglądały. Miały swoje „podręczne”, które pozostawały na ich usługach; w ten sposób ratowały własną skórę. Dla takich zawsze znalazło się zajęcie na hlaku, zawsze były nieodzowne,



a to ratowało je przed ciężkim komandem, oszczędzało zdrowie i stwarzało możliwości przetrwania. Szyły na przykład dla funkcyjnych różne rzeczy z garderoby „organizowanej” przez inne więźniarki.

Na czternastce dostałam dwa łóżka na parterze, w samym końcu sali, przy oknie. Był to spokojniejszy kąt, ale za to miałam widok na część bloku 13, a za nim krematorium z wiecznie dymiącym kominem. Gdy wiał z tamtej strony wiatr, dolatywał do nas mdły, słodkawy dym.

Blok był czysty, łóżka trzypiętrowe z giętych prętów. Kobiety, które mieszkały na trzeciaku, siadając na posłaniu musiały schylać głowę, bo sufit nie pozwalał im wyprostować się. Tu także więźniarki spały po dwie w łóżku na waleta. Ja spałam z Jacusiem, Ewusia z Andrzejem.

Na bloku 14 wśród kobiet polskich panowała solidarność, silniejsze roztoczyły opiekę nad słabszymi i dziećmi. Te, które pracowały w pralni, ofiarowały się prać nasze brudne rzeczy, aby dzieci były czyste i nie miały wszy. Przynosiły mi także mydło z pralni. Inne zajęły się dożywianiem, jeszcze inne przemyciły z kamery koce i ciepłą kołdrę oraz zabawki dla Jacusia. Dzięki temu dzieci spały pod grubymi kocami, ukrytymi w poszwie — jak na

wszystkich pryczach. Przemytu kobiety dokonywały wieczorem z narażaniem się na bunkier lub karny blok — strafblock. Przynosiły to wszystko z myślą o dzieciach, a głównie o najmłodszym. Jacuś miał nawet zabawki, nie mówiąc o futerku, pantoflach, skarpetkach, bieliźnie. Więźniarki, które robiły w warsztatach drewniaki, zrobiły mu nawet małe drewniaczki, aby wchodząc do umywalni nie moczył nóg. Gdziekolwiek kobiety pracowały: w szwalni, pralni, przy futrach, w ogrodach, w lesie czy przy bagażach nowo przybyłych więźniarek, którym wszystko odbierano, każda starała się coś przynieść. W początkach naszego pobytu na bloku 14 Jacuś miał wszystkiego tak dużo, że nie mogłam ukryć i musiałam topić w ustępie.

Najcenniejszą, bo żywnościową pomoc miałam ze strony Irusi Bogasz, częstochowianki, która pracowała w kuchni dla SS-manów. „Organizowała” tam, co się dało, i regularnie przez szereg tygodni do grudnia włącznie przynosiła chleb, miód, cukier, a czasem wędlinę. Wprawdzie były to małe ilości, ale sam fakt, że ktoś chce mi pomóc, znaczył dla mnie wiele. Gdyby nie to, załamałabym się i utonąła wraz z dziećmi w morzu ludzkiej niedoli. Pomocy tej udzielano mi tylko w pierwszych

miesiącach, ale te właśnie były najtrudniejsze, bo byłam jeszcze niedoświadczoną więźniarką.

### *Towarzyszki niedoli*

Na bloku 32 mieszkały „króliczki” — kobiety, na których Niemcy dokonywali różnych doświadczeń. Kilka z nich zmarło w nieludzkich męczarniach. Te, które przeżyły (było ich wtedy sześćdziesiąt trzy), do czasu naszego przybycia do obozu były pod obserwacją i nie pracowały. Jedna z nich zajęła się uczeniem Ewusi i Andrzeja języka francuskiego. Innych przedmiotów uczyły je: Jadwiga Krasicka, była dyrektorka któregoś gimnazjum w Warszawie, i pani Skalska. Pani Krasicka przychodziła codziennie wieczorem na nasz blok, siadała z dziećmi w głowach łóżka i uczyła je historii, literatury i geografii. Podręczników nie było. Nauka odbywała się w formie opowiadania, niektóre ważniejsze wydarzenia i daty dzieci notowały sobie na karteczkach. Nauka trwała kilka tygodni. Pani Krasicka pracowała w rewirze jako pielęgniarka. Pewnego dnia nie przyszła — zaraziła się dyfterytem i umarła, a ciało jej spalono w krematorium. Dowiedziałam się o tym od jej krewnej, która czasem przychodziła do

nas, pani Malinowskiej z domu Czartoryskiej, z Puław. O pani Malinowskiej mówiono, że przed wojną była oficerem na jednym z naszych transatlantyków, nie pamiętam czy na „Batorym”, czy na „Piłsudskim”. W czasie okupacji schroniła się w Turzy koło Sokołowa, w leśniczówce u kolegi mego męża, pana Dudka. To, że był naszym wspólnym znajomym, zbliżyło nas do siebie i odtąd pani Malinowska często do nas przychodziła, opowiadając o pobycie u niego, o aresztowaniu i o swojej rodzinie. Przemyciła do obozu i nosiła przy sobie, w butach, fotografie i pamiątkowy medalion z podobizną matki. Matkę jej rozstrzelano w Oświęcimiu na jej oczach. Wstrząs, jakiemu uległa, był straszny i zostawił ślady w jej psychice. Była bardzo nerwowa. Kobiety, które nie znały jej przeżyć, mówiąc o niej kreśliły kółko na czole. Nie miały racji.

Miała kilku braci, niektórzy przebywali w niemieckich oflagach i za ich pośrednictwem otrzymywała paczki z genewskiego Czerwonego Krzyża. Ilekroć do nas przychodziła, zawsze przynosiła coś dla dzieci: to ciastka, to kostki cukru, to mleko w proszku. Niestety, nie była z nami do końca. Pewnego dnia wyznaczono ją na transport i odeszła.

Z początkiem października, gdy Andrzej zachorował na gripę, ona właśnie przeprowadziła panią dr Zofię Mączkę, lekarzkę. Nie zapomnę jej tego nigdy. Pamiętam, jak okropnie bałam się wówczas o chłopca. Wieczorem pierwszego dnia choroby płonął cały od gorączki, mimo to wstał świtkiem na apel i stał do końca. W następne dni blokowa pozwoliła mu pozostać na bloku i zapewne musiała bardzo kręcić, aby rachunek na apelu zgadzał się. Zakonspirowany przeleżał na bloku, bo bałam się go oddać na rewir, aby go potem gdzieś nie wywieziono. Pani dr Mączka chłopca wyleczyła.

Miłą towarzyszką niedoli była pani Wanda Kaźniakowska, adwokat z Warszawy. Była bardzo nieszczęśliwa, zniszczona ciężką fizyczną pracą. Pracowała łopatą i motyką, codziennie głodna. „Zapomogi” dla Jacka pozwalały na to, że mogłam jej oddawać czasem jedną zupę. W późniejszym okresie, gdy czuła się chora, dzieliłam się z nią „dieta” Jacka, którą od pewnego czasu zaczął dostawać z kuchni raz na dzień. Była to zupa mleczna, owsianka lub grysik. Należało mu się ćwierć litra zupy, lecz sztabowa przynosiła nieraz więcej jak pół litra. Pani Wanda od czasu do czasu zdobywała „Völkischer

Beobachter” i czytała nam; śledziła przy tym pilnie wszelkie „planowe” odwroty Niemców na frontach i komentowała w taki sposób, że w słuchaczkach wzbudzała nadzieję na rychłą klęskę Niemców.

Nade mną spała Danuta Plutecka, dentystka z Warszawy, obok Krystyna Dąbrowska, żona prokuratora Sądu Najwyższego. Pani Dąbrowska pewnego dnia zachorowała na nerki i zabrano ją na rewir. Wkrótce zmarła. Danusia opowiadała nam, że po śmierci Krystyny, Niemcy kazali jej wyrywać złote zęby nieboszczce. Nie zdobyła się na wykonanie tego polecenia.

Zapomniałam, jak nazywała się Nina, młoda warszawianka śpiąca nad nami na trzeciaku. W obozie była ponad rok i nic nie wiedziała o rodzicach. Pewnego dnia nieoczekiwanie dostała kartkę od ojca z oflagu. Radość jej była ogromna. Cóż z tego? Zachorowała na dyfteryt i po tygodniu zmarła. Tego dnia wieczorem obserwowaliśmy dym wydobywający się z komina krematorium. Umarłe, zanim znalazły się na rusztach pieca, rzucono na stos pod gołym niebem. I Nina tak leżała. Na jej nagim ciele znalazła się czerwona róża zerwana z kwietnika obozowego przez którąś z przyjaciółek.

## *Pierwsze wiadomości od męża*

Był już wrzesień. Pewnego dnia Ewusia i Andrzej przybiegli podnieceni i powiedzieli, że rozmawiali z więźniami, którzy remontowali jeden z bloków na naszym lagrze. Kiedy mężczyźni zobaczyli dziecko, zapytali, czy nazywa się Jacek Augustynowicz. Powiedzieli, że tatuś Jacusia z Sachsenhausen został przeniesiony do obozu męskiego w Ravensbrück i że prosił ich, aby się postarali uzyskać jakąś wiadomość o żonie i o dzieciach, które są na obozie kobiecym. Radość całej naszej czwórki nie miała granic. Od tej pory zaczęła się między nami wymiana grypsów. Pierwszy był już na drugi dzień. Przynieśli go ci sami więźniowie pracujący przy remoncie bloku. Andrzejek i Ewusia przechodząc obok nich dowiedzieli się, że gryps jest ukryty pod beczką ze smarem. Powtarzało się to kilka razy. Przychodzili więźniowie i ci, i inni, w umówionym miejscu umieszczali i wyjmowali grypsy moje i męża. Pisane były maczkiem, ołówkiem ostro za temperowanym, na maleńkich skrawkach papieru, czasem na okładzince od bibulek papierosowych. Dziwiłam się, że tyle wiadomości można na tym zmieścić.

Grypsy po pewnym czasie niszczyłam, a szkoda.

Kilka dni później przybiegła Ewusia z wiadomością, że widziała tatusia na naszym obozie. Był w grupie czterech mężczyzn, robili jakieś pomiary. Nie mogła się do nich zbliżyć, bo pilnował ich SS-man. Krzyknęła tylko: „Tatusiu!...” Opowiadała mi to zdyszana i rozgorączkowana, jednym tchem. Wybiegłyśmy natychmiast, ale zobaczyłyśmy już tylko cztery postacie w pasiakach, znikające za blokiem koło badu; w jednej z nich poznałam męża.

Innym razem przybiegła do mnie znajoma więźniarka z wiadomością, że mój mąż pracuje za bramą. Była to kolonka — komendantka grupy roboczej — która miała przepustkę na poruszanie się między bramami obozu. W mig ubrałam się w pasiak i poszłyśmy. Za bramą, wzdłuż bocznic kolejowej, pod gołym niebem piętrzyły się nie kończącym szeregiem stosy wszelkiego dobra, zwożone z rabunku w okupowanych krajach Europy. Pracowały tu kobiety, które trzepały i zeszywały kozuchy. Dość daleko od nich stała grupa czterech mężczyzn, którzy robili jakieś pomiary. Po chwili zbliżyli się i poznałam męża. Kiedy mnie zobaczył, szybko porozumiał się z kolegami, którzy zajęli



czymś SS-mana, a sam zaczął manipulować przy taśmie. Udawał tylko, że pracuje, i patrzył w moją stronę. Trwało to dłuższą chwilę, lecz mnie wydawała się ona krótka. Nie zamieniliśmy ani słowa, bo był za daleko. Rozmawialiśmy tylko wzrokiem. Długo jeszcze patrzyłam, jak z wolna odchodzili.

Któregoś dnia w połowie października widzieliśmy się z bliska. Kobiety powiedziały mi, że za blokiem 16 jest kolumna pomiarowa i że może jest tam mój mąż. Było przejmujące jesienne zimno. Chwyciłam ciepły płaszcz, który mi „zorganizowały” litościwe więźniarki, i wybiegłam. Zobaczyłam mężczyzn w cienkich pasiakach. Widziałam, że jest im zimno. Przechodziłam to ma jedną, to na drugą stronę uliczki, obiegałam barak dookoła, chcąc być jak najbliżej nich. Nie zamieniliśmy również ani słowa. Odeszli.

Czwarte „spotkanie” miało miejsce w początkach grudnia. Dowiedziałam się, że mój mąż jest za 32 blokiem. Byłam wtedy jeszcze na czternastce. Zabrałam ze sobą Jacusia i futrzane rękawiczki z jędrnym palcem, które chciałam dać mężowi. W spotkaniu znacznie pomogły mi policjantki. Jedna z nich, przechodząc obok mego męża, szepnęła mu, że „będzie żona i Jacek”, był

więc przygotowany i szukał nas wzrokiem. Było południe i na obozie ruch był dość duży. Jacka nauczyłam, co ma robić, i wskazałam mu, który z więźniów jest jego tatusiem. Bałam się, że zapomniał, jak wygląda ojciec, i może się omylić. Mąż z kolegą pracował przy przyrządach mierniczych, coś pisał i od czasu do czasu rzucał okiem w moją stronę. Jedna z policjantek wzięła dziecko za rączkę, podprowadziła bliżej. Jacuś puścił się biegiem i za chwilę już był na rękach u ojca. Widziałam, jak mąż go serdecznie uściskał, ucałował i postawił na ziemi. Trwało to krótko, bo SS-man, zajęty rozmową, mógł się odwrócić w każdej chwili. Jacuś wrócił i zdał mi relację, że tatuś rękawiczki wzięł i schował do kieszeni. Obserwowałam to z odległości około trzydziestu metrów. Byłam szczęśliwa, że chociaż w ręce mu nie będzie zimno, Potem już nie widzieliśmy się ani razu.

### *Praca*

Co robiłam w obozie? — Jakżeż wielką wdzięczność jestem winna tym więźniarkom, które oszczędzały mnie ze względu na dziecko.

Jacek był ich oczkiem w głowie, przelewały na niego swą miłość macierzyńską tkwiącą w każdej kobiecie i wiele z nich stało na straży jego bezpieczeństwa. Mnie nie nazywano inaczej, jak panią Jackową. Chcę czy nie chcę, muszę przyznać, że stał się głową rodziny, której dzielnie bronił swoją dziecięcą urodą i niewinnością.

Znali go też wszyscy mężczyźni, którzy przychodzili na nasz obóz do pracy.

Rano po apelu, gdy kobiety ustawiały się do pracy, wybierano i mnie i ustawiano w jakiejś grupie roboczej. Gdy grupy rozchodziły się do pracy, magiczne słowa „Jackowa mamusia” zwalniały mnie i chyłkiem wracałam do dziecka na blok. Spały tu już kobiety pracujące nocą, tak zwane nocki. Z pracy wracały nad ranem i szły do sypialni spać. Wracałam i ja w swój kąt i siadałam z dziećmi na łóżku. W razie kontroli dzieci, jako nie pracujące i mające większą swobodę, wychodziły na dwór, a ja zawsze mogłam udawać „nockę”. Gdy aufzejerka zjawiała się nagle, starałam się być niewidoczna. Raz mi się to nie udało. Zapytana, co tu robię, zaczęłam się tłumaczyć, że przybiegłam na chwilę do małego dziecka, i jakoś mi się udało wybrnąć. Mruknęła coś i odeszła. Od tej pory pilnowałam się bardzo, aby znów nie wpaść którejś w oko.

Późną jesienią w szare poranki nawet przy przydziale do grupy najbardziej służbistej kolonki nietrudno było zniknąć. Dzielnie pomagały mi w tym inne więźniarki, uczyły, gdzie się ustawiać, kiedy i gdzie ewentualnie się zatrzymać. Każdy taki wymarsz do pracy był udręką.

Nie zawsze udawało mi się wymknąć. Kiedy nie było mnie dłużej, Jacuś zostawał pod opieką Ewusi i Andrzeja. To, że starsze dzieci nie musiały pracować, zawdzięczam tylko funkcyjnym Polkom.

Kolumny kobiet odchodziły do różnych prac wewnątrz obozu i za bramą. Przykry widok przedstawiał strafblook. Kobiety z ogolonymi głowami, w cienkich pasiakach, z łopatami na ramieniu, ruszając do pracy musiały śpiewać. Wlokły więc swe nogi w ciężkich drewniakach i śpiewały. Młodym kobietom zagrażało w obozie inne jeszcze niebezpieczeństwo. Bywały dni, kiedy SS-mani poszukiwali ładnych dziewcząt. Komisja złożona z aufzejerek i SS-manów pilnie się każdej przyglądała. Kiedy już dokonano wyboru, nieszczęsne wybranki oddzielano od reszty i wywożono do domów publicznych dla żołnierzy niemieckich. Dziewczęta wyłapywano na apelu, w czasie posiłków, przy powrocie z pracy — wtedy gdy dużo więźniarek kręciło się po obozie.

Nie oszczędzano też i bloków. W czasie takich łapanek w obozie panowała groza i popłoch. Pewnego razu Ewusia i dwie młode panienki Lgockie z Warszawy, będące w obozie z matką, w obliczu grożącego niebezpieczeństwa wyrwały deski nad trzeciakiem i wsunęły się w wyrwę. Nie wiem, jakim cudem się tam zmieściły. Dopomógł im w tym wielki strach, skurczył je, spłaszczył i stłumił oddechy. Gdy opuściły kryjówkę, były na wpół żywe z przerażenia. Kiedy indziej na gwałt zaścielano je w łóżka, gdzie musiały leżeć bez ruchu aż do ukończenia łapanki. Raz nawet Ewusia ukryła się w skrzyni na śmieci.

## Wszy

Plagę, od której w obozie nie można się było ustrzec, stanowiły wszy. Walka z nimi okazywała się nie zawsze skuteczna, lecz nie można było w niej ustawać.

Przynosiło się je z umywalni, z ubikacji, z apelu, nawet z posiłków. Były tak duże i dobrze widoczne, że zabijałam je drewniakiem na podłodze.

Głodujące kobiety za chochlę zupy lub kilka kartofli przeglądały więźniarkom bieliznę. Urzędowały w umywalni, do

której przychodziły zawszone kobiety. Biły wszy i liczyły. Zdarzały się klientki, które miały sto dwadzieścia sztuk w koszuli, w sukni tyleż, nie mówiąc już o głowie. Takie kobiety należały do zdecydowanych brudasów i roznosicielek tego inwentarza nędzy ludzkiej. W gwarze obozowej nazywano je szmugsztykami. W kącie, gdzie mieszkałam z dziećmi, na wszystkich piętrach kobiety bezustannie walczyły o czystość własnych rzeczy, lecz ustrzec się przed wszami było niemożliwością. Wszy miały swój obyczaj i znały swoje ścieżki. Wędrowały zawsze po ciele i nawet przez koszulę łatwo było je złowić. Po upolowaniu nocą mocno zaciskałam powieki i tak już zamkniętych oczu i rozgniałałam wesz w palcach. Bieliznę osobistą wymieniano nam rzadko, w czasie mego pobytu w obozie dwa lub trzy razy. Pranie było bardzo kłopotliwe, nie miało nic wspólnego z praniem domowym. Prało się w zimnej wodzie i bez mydła. Wprawdzie mydło można było nabyć za chleb, ale chowałyśmy go na czarną godzinę. Uprane rzeczy suszyło się w rękach, nosząc je rozpostarte przed sobą, machając nimi, by szybciej schły. Trzeba było uważać, aby władze tego nie zobaczyły. Można je było także rozwieszać nad łóżkiem, lecz nie

pilnowane, znikwały, „organizowane przez współtowarzyszki.

W pewien zimny, wietrzny jesienny dzień zaprowadzono nas na odwszawianie pod celtę. Był to namiot — barak olbrzymich rozmiarów tuż za 24 blokiem. Wewnątrz musiałyśmy się rozebrać do naga mimo przenikliwego zimna. Zabieg polegał na opylaniu ludzi i odzienia. Pomagało to niewiele.

Do tego baraku zazwyczaj były kierowane kobiety z nadchodzących transportów i tu czekały, aż się rozstrzygnie ich dalszy los. Później wstawiono tu łóżka i sienniki z wiór, na których tłoczyły się kobiety. Gdzie się miały myć i załatwiać potrzeby naturalne, o to nikt się nie troszczył. Opuszczać baraku nie było wolno. Dochodził stamtąd zgiełk, szum, i niesamowity smród. Spod obrzeży tego „hotelu” kipiały odchody ludzkie. Opowiadano, że kiedyś przy rozdawaniu posiłków zaduszono więźniarkę.

Pewnego dnia we wrześniu pod blokiem siedziały sztrykierynki i robiły skarpety dla wojska. Jacuś bawił się pod oknem, a Andrzej, który baczył na niego, przystanął między kobietami i patrzył na nowy pędzony transport. Kobiety miały się kąpać, lecz łaźnia była zatłoczona, więc pędzono je pod celtę. W celcie był tylko jeden otwór:

wejście. Szły i szły, zda się, bez przerwy.

W pewnej chwili z kolumny idących padł okrzyk: „Łap, chłopcze!” i nieduży woreczek zatoczył łuk w kierunku Andrzeja. Zanim się zorientował, o co chodzi, jedna z szydełkujących kobiet pochwyciła woreczek. Szybko odeszła kilkanaście kroków z maszerującą kolumną i ukryła się za blokiem.

Kobiety zbурczały Andrzeja za to, że dał sobie odebrać dolary, a może i złoto. A Andrzej mówił o tym tak obojętnie, jak o spadającym kamyku. Ani dla mnie, ani dla dzieci złoto nie miało wówczas żadnej wartości.

Celta istniała kilka miesięcy. Kiedy zapowiedziano wizytę Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, zabrano się do porządków i celta, jak szybko została „wybudowana”, tak szybko znikła. Miejsce, gdzie stała, zostało splantowane i ślad po niej nie został.

### *Transporty, transporty...*

Do lagru wciąż i wciąż przybywały transporty kobiet, panował przy tym ciągły ruch wymienny pomiędzy obozami w Niemczech. Gdy jeden transport przyszedł, inny odchodził nocą. Czy daleko? Może



tylko za ten mur, który miałyśmy przed oknem? Losu nocnych transportów nikt nie znał. Wiedziałyśmy tylko, że te, które odchodziły dniem, jechały dalej. Te nocne rodziły we mnie dziwny niepokój. Jeszcze dziś słyszę miarowy stukot drewniaków, nerwowe, rozgorączkowane rozmowy. Cichło to w miarę oddalania się nieszczęśliwych w tajemniczą czerń nocy.

We wrześniu, tuż po powstaniu, przybyła Warszawa. Plac przed badem zaległo morze kobiet w białych chusteczkach na głowach; wyglądał jak przyprószony śniegiem. Dni były gorące, a one objuczone do ostatnich granic, ubrane w wełniane suknie, kostiumy, a nawet futra. Oczywiście, wchodząc do badu, wszystko, co miały na sobie i przy sobie, walizki i plecaki, musiały zostawić na placu.

Po kąpieli wyszły nagie, a na lager odmaszerowały w stroju obozowym. Ileż one tu majątku przydźwigały!

Po obozie krążyły ulotki, przywiezione przez nie z Warszawy, które mówiły, że kto nie chce zginąć, niech zawiąże białą chusteczkę i zabiera tyle, ile może unieść, stawi się w oznaczonym miejscu, a wyjedzie na wolne roboty do Niemiec. Warszawa bowiem zostanie zniszczona.

Kilka tysięcy tych kobiet w białych chusteczkach przyjechało do Niemiec — ale nie

na wolne roboty, lecz wprost do koncentraka. Tu utraciły wolność i ratowany majątek. Przywożono je przez kilka dni. Część ich pozostała w Ravensbrück, część wywieziono do innych obozów lub do pracy w fabrykach.

Pewna warszawianka opowiadała, że przywiozła kilka tysięcy dolarów, a teraz jest bez grosza i głodna. Na szczęście była optymistką, humor jej nie opuszczał. Opowiadała, że na wolności ciągle była na diecie, chorowała na wątrobę i woreczek żółciowy. Teraz ma wilczy apetyt, jest ciągle głodna, spadła wiele kilogramów na wadze, a lagrowy chleb i brukiew nie wywołują, jak dotąd, żadnych boleści.

Przy porządkowaniu bagażów pracowały więźniarki. Odstawiały je do sortowni i tam segregowały szczegółowo. Czego tam nie było! Czujną opiekę nad takim komandem sprawowały SS-mamki, lecz kobietom zwykle udawało się zjeść ukradkiem i coś niecoś przemyścić na lager na handel wymienny lub pomoc współtowarzyszkom. Było to jednak wielkie ryzyko. Przy zejściu z pracy odbywała się rewizja osobista kobiet wybieranych na chybił trafił. Przyłapana była bita, obcinano jej włosy, dostawała się na strafblook lub skazywano ją na głodówkę w zależności od tego, co przy niej znaleziono, i od humoru SS-

manek. Ryzykantki jednak znajdowały się zawsze, bo rzeczy były zbyt kuszące. Za pajdę chleba można było dostać w tym handlu złotą obrączkę, pierścioneł, różne części garderoby.

Miałam wiele propozycji wymiany, lecz chleb oszczędzałam na czarną godzinę. Ceniałam go wyżej od złota, nie było mi nic potrzeba prócz kromeczki dla mnie i dla dzieci na dziś i jutro. Trafiwały się zapobiegliwe, które kosztem głodowania zdobywały złoto czy biżuterię, lecz to były wyjątki. One też ryzykowały, bo od czasu do czasu odbywały się po blokach rewizje w poszukiwaniu biżuterii. W czasie rewizji stałyśmy kilka godzin na apelu, a SS-mani przetrząsali łóżka.

Często przychodziło tak dużo transportów, że kobiety nie mieściły się na placu pod badem ani pod celtą. Trzymano je wówczas pod murem za blokami rewirowymi. Był tam długi wąski pas piaszczystej ziemi, na którym kobiety biwakowały godzinami. Od pilnujących policjantek dowiadywały się cichaczem, że wszystko, co mają, utracą. Zakopywały więc kosztowności w piasku z myślą, że uda się im to później odnaleźć. Po odejściu takiego transportu pasa ziemi z ukrytymi skarbami nie chroniły nawet ludzkie nieczystości. Był przekopywany rękami

innych więźniarek pod nadzorem SS- -  
manek i znalezione cenne rzeczy  
wędrowały do kamery.

### *Dzieci zagrożone*

Boleśnie przeżyłam dzień 19 października. Było szaro, mglisto i chłodno. Na apelu wyczytano numer 47500, numer Andrzeja. Kazano mu wystąpić i odejść „nach vorne”. Był po grypie i wyglądał bardzo mizernie.

Kobiety zaczęły szeptać, że dzieci zabierają do Buchenwaldu. Staralam się jakoś opanować, bo czułam, że dygoce we mnie wszystko, że tracę zupełnie głowę. Usłyszałam, że zezwolono mu iść na blok po rzeczy i natychmiast wracać. Apel miał się już ku końcowi. Gdy rozpoczęto formowanie grup roboczych, pobiegłam za nim na blok za wiedzą blokowej i sztubowej. Spakowałam, co mogłam, a przede wszystkim ciepłe grube męskie kalesony, które dostałam od którejś z kobiet i miałam zamiar przemycić dla męża na męski obóz. Pożegnałam Andrzeja ze łzami w oczach, odprowadziłam kawałeczek. Poszedł. Dokąd?

Na obozie kobiecym było wtedy dwóch chłopców wśród wielu tysięcy kobiet. Wywołano teraz i tego drugiego. Nazywał się Tom Lehner. Nie wiem, czy tak pisze się to nazwisko. Był Słowakiem, obywatelem USA. Był to bardzo ładny chłopiec, młodszy nieco od Andrzeja, ale wyższy prawie o głowę. Dzień ten zbliżył mnie z jego matką, która mieszkała na innym bloku. Płakałyśmy wspólnie i pocieszały się, jak mogły. Opowiadała mi, jak we wrześniu 1944 roku Niemcy zabrali ją wraz z mężem i dwoma synami i wywieźli do Krakowa. Umieszczono ich w hotelu, dobrze karmiono. Trwało tak jednak tylko kilka dni. Nieoczekiwanie zabrano męża i starszego syna, nie wiedziała nawet, dokąd. Ją z Tomem przysłano tutaj. Była bardzo nieszczęśliwa, nieszczęśliwsza ode mnie, gdyż nie wiedząc nic o mężu i starszym synu traciła dziś drugiego i ostatniego. Zostawała sama ze swoim bólem i troską, która będzie ją przytłaczała w bezsenne obozowe noce.

Na szczęście pogłoski o wywózce nie sprawdziły się. Już wieczorem tego dnia dowiedziałyśmy się, że chłopców przeniesiono na obóz męski. Odetchnąłam z ulgą. Wiedziałam, że tam jest ojciec. Uspokołam się i uspokojałam Lehnerową, mówiąc, że mój mąż na pewno będzie miał

w opiece obu chłopców i jeżeli będzie mógł, przyśle nam gryps z wiadomością, jak się czują. I rzeczywiście, za kilka dni nadeszła wiadomość. Jedna z kolonek pracująca na boczniczy przyniosła gryps od mego męża, inne wychodzące do pracy za bramę mówiły, że widziały przez druty obu chłopców na obozie męskim. Mąż pisał, że ucieszył się Andrzejem, że dziękuje za ciepłą bieliznę.

Od pewnego czasu grypsy przynosiły mi kochane nasze Polki, których imion nieraz nie znałam. Jedną z nich pamiętam bardzo dobrze. Była to pani Janina Konopacka pracująca w przyobozowych zakładach Siemensu. Często widywała tam grupę mierniczych i wśród nich mego męża. Od tej pory szedł szmugiel i grypsy. Przez nią posłałam zupełnie nową ciepłą bieliznę, również mi ofiarowaną, z którą mąż zamknął się zaraz w fabrycznym ustępie i błyskawicznie nałożył na siebie pod pasiak. Przez Janinę posłałam także maszynkę do golenia i żyletki, które dostałam od pani Małachowskiej, bardzo miłej i dobrej osoby.

Kochane kobiety, pamiętały i o ojcu Jacusia i „organizowały” dla niego, co mogły.

Janina Konopacka wracając wieczorem z pracy podawała mi przez okno gryps i za-

bierała maciupenką paczuszkę, aby ją następnego dnia podać memu mężowi lub wrzucić niewidocznie do wózka, na którym więźniowie wozili swoje narzędzia. Wszystko, co podawałam i dostawałam, dochodziło szczęśliwie. Nigdy nikogo nie przyłapano, bo zorganizowane to było mądrze i sprytnie.

Z grypsów dowiadywałam się, że ojciec i syn bardzo się sobą cieszą, śpią razem, a obok nich Tom, że chłopcy w ciągu dnia się nie rozstają.

O świtaniu mąż szedł do pracy. Jeżeli pracowali w Ravensbrück lub w Fürstenbergu, na noc wracał; jeżeli wywożono ich daleko w teren, wracał często po tygodniu i zawsze z obawą w sercu o chłopców. Pewnego dnia rozłączono ich z rozkazu blockführera, który w ten sposób zemścił się na mężu za to, że nie stanął na baczność i nie zerwał czapki z głowy, gdy przechodził obok niego. Doskoczył wtedy do męża i pobił go do krwi. Tłumaczenie, że mąż nie zauważył go, nie pomogło i musiał przenieść się na inny blok. Od tej pory mogli się widywać z Andrzejem tylko w niedzielę, a w dni powszednie w ubikacji lub po apelu wieczornym, w czasie spaceru po wąskim placu obozowym, gdy blockführera już nie było.

W kilka dni po zabraniu Andrzeja usłyszałam wiadomość, że zabiorą mi i Jacka. Odchodziłam od zmysłów. Na jego ubrankach wyszyłam numer 47501, aby wiedzieli, że to jego koszulka czy majteczki, płaszcz czy pończoszki. Tak doradziły mi moje znajome. Uczyłam go, jak ma poznawać swoje rzeczy. Był dotąd jedynym dzieckiem wśród tylu tysięcy kobiet. Zabrali Andrzeja i Toma, czemuż by i tego dziecka nie mieli mi odebrać? Ileż łez wylałam i jakie myśli przewijały się przez moją biedną głowę! Każdy apel był dla mnie podwójną męczarnią. Czekałam i słuchałam, czy nie padnie numer Jacusia. Cieszyłam się każdym dniem, bo jeszcze jest ze inną, i zamartwiałam się, że może jutro już go nie będzie. W nocy tuliłam go z całych sił do siebie i wymyślałam różne sposoby i plany, jak by go zatrzymać. Zdawało mi się, że nie będę mogła przeżyć rozłąki z nim, że nie mam po co żyć dalej.

Żyłam w ciągłym oczekiwaniu na ten cios aż do dnia, kiedy do lagru przywieziono duży transport Cyganek z dziećmi. Jednocześnie do obozu męskiego przyszedł transport Cyganów i chłopców cygańskich w wieku od sześciu do czternastu lat. Było teraz dużo małych Cyganiątek, chłopców i dziewczynek w różnym wieku, mniejszych



i większych od Jacusia. Od chwili ich przybycia wszystkie dzieci rano zaczęły dostawać dietę, a (więc zupełną mleczną, czasem odciągane mleko. Przestałam się niepokoić o Jacka, bo pomyślałam, że wśród tylu dzieci jakoś się ukryje.

Skończyło się jedno zmartwienie, zaczęło się drugie. Zachorowała Ewusia. Po kilku godzinach stwierdziłyśmy temperaturę 40°. Konieczna więc była pomoc lekarska. Musiała, się zgłosić na rewir. Symptomy choroby były niepokojące: ból gardła, głowy, stawów. Zajęły się nią lekarki Polki i Czeszki. Zobaczył ją też lekarz SS dr Treite i zaczął okazywać wyjątkowe zainteresowanie młodą i ładną pacjentką. Mówił jej, że jest rasowym, germańskim typem, zaproponował jej funkcję sprzątaczkii u siebie i obiecywał nawet zwolnienie z obozu. Nie był to jednak lekarz, do którego więźniarki mogły mieć zaufanie. Ewusia bała się go panicznie. Gdy tylko stan jej zdrowia poprawił się, uciekła z rewiru.

Ilekcroć zobaczył ją potem, przystawał i kiwał na nią palcem. Udawała, że go nie widzi, i uciekała. Raz jej się to nie udało. Prowadziła akurat Jacka za rękę i kiedy zobaczyła doktora Treite, stanęła jak wryta, bo nie miała gdzie uciekać. Zapytał, co to za

dziecko. Kiedy mu odpowiedziała, mruknął coś, wyjął z kieszeni cukierki, dał Jackowi i pozwolił im odejść.

Rok 1944, strach czy resztki ludzkich uczuć? Na to pytanie żadna z nas nie umiała odpowiedzieć.

W ciągu trzytygodniowego pobytu w szpitalu Ewa dzieliła łóżko z Basią Taklińską z Krakowa. Najbliższą ich sąsiadką na pryczy była chora Francuzka, ratowana przez lekarki obozowe. Sąsiadką z drugiej strony była też Francuzka, która chorowała na gardło. Owijała je szalem, który roił się od wszy. Ewa i Basia zawsze się straszliwie. Gdy wróciły do bloku, ledwie dałyśmy sobie z tym radę.

Zbliżała się zima i dotkliwie dawała znać o sobie tym kobietom, które źle ubrane marzyły na rannych i wieczornych apelach. Nadchodził grudzień, a z nim wichury, śnieżyce, mrozy dające się nieszczęśliwym dobrze we znaki.

Któregoś wieczoru wyszłam z dziećmi z zaduchu baraku, aby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Jacek zaczął biegać między blokami, bawić się śniegiem. W pewnej chwili wpadł na kobiety niosące kocioł gorącej kawy na kolację. Wieko kotła było widocznie nie

domknięte, bo gorąca kawa ochlapała dziecku twarz i płaszczyk. Narobił krzyku, ale na szczęście skończyło się na strachu. Płyn nie był aż tak gorący, by spowodować groźne oparzenie. Zbiegły się kobiety, wśród nich była Maja Berezowska. Powiedziała, że ma ochotę namalować portrecik Jacka, który będzie dla niego pamiątką z obozu. Ofiarowała się także namalować portrecik Ewusi. Podprowadziła nas do okna 16 bloku i wskazała łóżko, na którym mieszka.

Dzieci miały przychodzić pozować o uzgodnionej godzinie. Plany te jednak nie doszły do skutku, ponieważ zima była ostra, mrozy siarczyste. Na ścianach baraku oddechy kobiet tworzyły warstwę szronu dochodzącą do kilku centymetrów grubości. Więźniarki spały teraz po pięć na dwóch łóżkach. Dzieci, okutane we wszystko, co miały, nie wychodziły prawie z bloku. Jacek nawet w przemyconym futerku spał bardzo niespokojnie przy wybitych oknach. Do tego zachorował na świerzb; i piersi, i brzuszek miał poranione od drapania. Choroba ta była pospolitą plagą w obozie, nie oszczędziła też mnie i Ewusi. Zajął się nami lekarka, Czeszka, pani Zdenka, która nas wyleczyła.

Pozowanie w tych warunkach zeszło na plan dalszy, nie bez wpływu na to był też

mój stan psychiczny i zubożenie na wszystko. Trudno mi było uwierzyć, że gdy nas tak systematycznie i z wyrachowaniem likwidowano i odzierano z człowieczeństwa, istnieje jakiś inny świat, mogą być Indzie, którzy normalnie żyją, pracują, są wolni, myślą o własnym mieszkaniu, obrazach, portretach. Może dlatego, że nie byłam sama, że musiałam walczyć o przetrwanie trojga dzieci, największym moim zainteresowaniem cieszył się chleb, główka kapusty, kostka cukru lub łyżka mleka w proszku dla Jacka. Do tego dochodziła bezustanna troska o życie męża. Oto powody, dla których mieszkania moich dzieci nie będą zdobić ich obozowe portrety.

W czasie tych trzaskających mrozów stałam na apelu mając pod obozową sukienką „ornat” uszyty ze skór, a na nogach „skarpety”, również uszyte ze skórek, które chroniły od zimna w ogromnych drewniakach. Dostałam to wszystko od kobiet, które nie chciały dopuścić do tego, bym zmarła na kość, rozchorowała się i zmarła. Miały na uwadze dzieci, które wówczas zostałyby same wśród wielotysięcznej rzeszy obcych.

Długo nie zdawałam sobie sprawy, jakim ogromnym majątkiem obdarowywały mnie kobiety, które narażając się na ciężkie kary

przynosiły mi różne części garderoby. Dawały mi to zupełnie bezinteresownie, podczas gdy inne więźniarki wszystko musiały kupować za chleb. Wiele z otrzymanych rzeczy dawałam innym, nigdy za nie nic nie biorąc.

Pewnego razu przyszła do mnie więźniarka, Niemka, pracująca przy wyrobie papierosów. Za przemycone papierosy kupiła piękną bordową aksamitną sukienkę bez krzyża. Przyniosła ją dla Ewusi. Poleciała dobrze schować, by gdy wyjdziemy na wolność, Ewusia miała się w co ubrać. Czuła do niej sympatię, bo miała córkę w tym samym wieku i dwie młodsze. Do obozu dostała się za słuchanie zagranicznego radia. Rozpaczała, bo nie wiedziała, co się dzieje z dziećmi. Mąż jej był na wojnie. Wzruszona tym gestem, suknię przyjąłem, lecz obawiając się, by jej w czasie rewizji nie znaleziono w łóżku i nie oskarżono mnie o przygotowywanie się do ucieczki, w kilka dni potem za poradą starych, doświadczonych więźniarek podrzuciłam na dalekie ode mnie łóżko i pozbyłam się zmartwienia.

## *Zima*

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Polki pracujące w lesie przyniosły

prawdziwą choinkę. Urządzono ją na 20 bloku dla stu ośmiu młodziutkich dziewcząt.

Wśród nich jedynym maluchem był Jacek i starsza od niego, siedmioletnia Irenka Karlińska ze Lwowa. Choinkę ubrano watą i „zorganizowanymi” świeczkami, pod nią było trochę prezentów. Wszystkie dziewczynki otrzymały po kilka kostek cukru i ciastka, a Jacek i Irusia dostali cukierki i mikołajki z piernika. Jacek dostał także piękną lalkę ubraną w huculski strój, zrobioną własnoręcznie przez którąś z więźniarek. Wszystko to było „zorganizowane” lub pochodziło z paczek od rodzin. Były i kolędy, a zamiast wieczerzy wigilijnej przy rodzinnym stole — łzy i wspomnienia. Śpiewać w ten wieczór nam nie zabroniono. Jak się później dowiedziałam, na obozie męskim więźniowie też urządzili choinkę dla cygańskich dzieci i naszych dwóch chłopców. Na 5 bloku zorganizowali nawet przedstawienie kukiełkowe, które zaszczycił swą obecnością komendant obozu męskiego — Peters — i SS-mani.

Ja na swoim łóżku znalazłam paczuszkę od Ady Drygalskiej z ciastkami i kostkami cukru. Związała ją czerwoną wstążeczką, za którą zatknięta była gałązka świerkowa.

Jacek bawił się nią i pierwszy raz usłyszałam z jego ust dziwnie poważne słowa: „Mamusiu, prawda, że to pachnie wolnością?” Rozplakałam się. Pani Ado, niech to dobro, którym nas darzyłaś, wróci ci się |w życiu stokrotnie!

Nie było wśród nas Irusi Bogasz, która w tym dniu została przyłapana przez Niemców na gorącym uczynku. Razem ze swą towarzyszką pracy „organizowały” coś na choinkę, piekły ciastka w SS-mańskiej kuchni i zostały nakryte. Zniknęły z obozu i więcej ich nie widziałyśmy.

Minęły krótkie świąteczne dni i obóz wrócił do normalnego trybu życia. Zima była sroga. Moje ucieczki z pracy stawały się coraz trudniejsze, zaostrzyła się kontrola. Na apelu przetrzymywano wszystkie więźniarki nie przydzielone do komand na zewnątrz. W gwarze obozowej nazywano je ferfugami. Należałam do nich i ja. Po apelu ferfugi ustawiały się w osobnej kolumnie, z której kolonki wybierały nas do pracy w obozie. Na ogół dostawałam się w ręce znajomej kolonki, która mi pozwalała wymykać się do dziecka. Czasem to się nie udawało, bo kolonki zmieniały się, i wybierała mnie obca.

Gdy już ruszano do pracy, należało tak

lawirować, aby ulokować się w ogonie kolumny roboczej, w odpowiedniej chwili oderwać się i uskoczyć za ścianę baraku. Przejść między blokami pilnowały policjantki nie zawsze znajome, gorliwie polujące na uciekinierki. Najczęściej uciekałyśmy z Edą Karlińską. Przyczajone za ścianką baraku czekałyśmy na moment, gdy policjantka ruszy w pogoń za inną więźniarką, i wówczas jednym skokiem dopadałyśmy nowego punktu oparcia. Czasem uciekinierek było w naszym przejściu kilkanaście i ten stróż porządku w pasiastej spódnicy dzielił pałki między nie. Oberwało się nieraz i nam, ale na ogół udawało się, i tak klucząc, czasem nawet znajdując chwilowy azyl w cygańskim bloku, docierałyśmy do naszego.

Na naszym bloku była niejaka pani Kaczmarek, „sztrykierynka”. Pewnego dnia wśród nowego transportu Polek poznała swą córkę. Oniemiała. Córka też matkę zobaczyła i od tej chwili na naszych oczach zaczęła się rozwijać akcja tragedii. Matka nie mogła pogodzić się z tym, że jej kochana córka znalazła się w tym piekle. Wstrząs był tak silny, że przestała spać, jeść, a później mówić. Na domiar złego córka była na kwarantannie. Ale od czegoż pomoc towarzyszek niedoli? Córka zaczęła



się przekradać do matki. Lecz nic już nie pomogło. Pani Kaczmarek wpadła w dziwne odrętwienie. Przyjaciółki opiekowały się nią, karmiły, wodziły ze sobą na apel. Po apelu przyprowadzały na blok i pilnowały. W nocy, gdy wszystkie spały, schodziła ze swej pryczy, wędrowała po sali, wyciągała przed siebie ręce, macała po łóżkach, szukała. Wyglądała tak strasznie, że ogarniało nas przerażenie. Towarzyszki uprowadzały ją szybko i układały z powrotem do łóżka. Pewnego razu zasnęła nad ranem, wówczas, kiedy musiałyśmy wychodzić na apel. Każdy, kto żyw, musiał iść, obojętnie — zdrowy czy chory, rachunek musiał się zgadzać. Chore i konające zostawały na placu, skąd po apelu zabierano je na rewir lub na stos. Wiele razy uciekając z Edą przeskakiwałyśmy przez martwe ciała tych, które wyszły na apel żywe.

W dniu tym po raz pierwszy nie wzięto pani Kaczmarek na apel. Widocznie uzgodniła to blokowa z aufzejerką, bo odtąd pozostawała na bloku. Za zgodą blokowej zostawało też dwoje małych dzieci z uwagi na siarczyste mrozy.

Gdy któregoś dnia przyszłam z apelu, Jacuś zwinięty w kłębek pod kołdrą cały drżał, płakał i krzyczał: „Kto ta?”

Okazało się, że to pani Kaczmarek zesła

z łóżka, stanęła nad nimi z wytrzeszczonymi oczyma, z włosami w nieładzie i z obłądnym bełkotem. Przeraziły się tak bardzo, że od tego czasu, byle nie zostawać same, chodziły na apel.

Pani Kaczmarek nie odzyskała już ani przytomności, ani mowy. Godzinami wystawała przy pierwszym oknie sypialni, spuchnięte i sine ręce trzymając złożone na piersiach, i patrzyła przed siebie. Nie słyszała nic, nie reagowała na mimowolne potrącanie, chociaż wszystkie obchodziłyśmy ją z daleka, serdecznie współczując. Trwało to przez wiele dni. Kiedy dostała durchfallu i stała się ogromnym ciężarem dla przyjaciółek, a także kiedy obłąd jej stał się groźny dla otoczenia, oddano ją na rewir. Tam ją wykończyli jak inne i uleciała z dymem.

Że tak długi czas udawało się ją trzymać na bloku, to zasługa funkcyjnych Polek.

### *Apele i selekcje*

Apele! Co za straszliwa zmora! Na apelu musiał być każdy, kto mógł się poruszać. Nawet Jacuś i mała Irusia, i tylko trzy lub cztery razy w czasie silnych mrozów zostawali w bloku. Dzieci z wolna przywykły do tego, że się je zrywa ze snu, gdy na święcie

panuje ciemna noc. Dawały się ubierać bez sprzeciwu i dreptały obok matek. Na apelu wystawaliśmy długo i marzły do momentu, aż wszystko uzgodniono i sformowano komanda robocze do odmarszu. Apele dwugodzinne nazywano krótkimi, a najdłuższy, na którym męczyliśmy się z dziećmi, trwał chyba z dziesięć godzin. Między szpalerami przechodzili „bogowie i boginie życia i śmierci”, padała wtedy komenda „Achtung!” i nie wolno było ani drgnąć. Gdy pojawiała się główna dozorczyńni Binz z psem w otoczeniu SS-manów i SS-manek, wydłuż Lagrowej z ust do ust .przechodził szept: „Binz idzie, Binz!” Groza wiała od postaci i tej sadystki i tysiące kobiet zamieniało się w słupy soli. Każda z nas wiedziała, jak obchodziła się ona z tymi, które były nie dość karne. Była najgorszą wśród złych, bez krzty ludzkich uczuć.

Pamiętam też inną aufzejerkę, która na apelu uwzięła się na mnie i gdy zgarbiłam się lub oderwałam ręce wyciągnięte wzdłuż ciała, doskakiwała i biła mnie pejcem.

Jacek już musiał wiele rozumieć, bo gdy usłyszał przekłete „Achtung!”, stał spokojnie i cicho. Później też nie wolno było łamać szeregów, więc kręcił się tylko, kucał, ale czynił to wszystko prawie w miejscu.

Nieraz po apelu zbierano te, które padły z

wycieńczenia lub umarły, zapędzone na Lagrową w przedśmiertnej gorączce, aby rachunek się zgadzał.

Innego rodzaju apele przed blokami to selekcje. W czasie mojego pobytu w obozie przeszłam ich kilka. Dokonywano ich podstępnie. Początkowo puszczano pogłoskę, że osoby stare i chore, niezdolne do pracy przeniesione zostaną na lepsze warunki. Miały iść na Jugendlager. Początkowo był to obóz dla młodocianych Niemek chorych wenerycznie lub niedorozwiniętych, skazanych za prostytutkę i złodziejstwo. Opuściły one obóz na jesieni 1944 roku, a od stycznia 1945 stał się on miejscem masowego uśmiercania kobiet starych i chorych.

Z moich najbliższych sąsiadek na Jugendlagerze znalazły się dwie siostry, nauczycielki, panny Andrzejewskie z Wilna lub Grodna, tego już dobrze nie pamiętam, oraz stara kobiecina spod Rzeszowa, niejaka Ja mróz. Ich miejsce na łózkach zajęła pani

Bombowa z dwiema córkami; wszystkie trzy pracowały w szwalni. Pani Bombowa została aresztowana z czterema córkami, dwie z nich wywieziono na transport, na blok 14 przyprowadziła ze sobą Martę i Danusię. Marta była w wieku Ewusi. Matka bojąc się o nią zabierała ją do pracy. Biedne

nasze sąsiadki idąc na Jugendlager cieszyły się, że będzie im lepiej. Jak później dowiedziałyśmy się, wszystkie „przeniesione w lepsze warunki” zostały zagazowane. Selekcje przeprowadzała komisja złożona z SS-manów, lekarza, oberynki — głównej dozorczyńi — lub jej zastępczyni. Komisja zasiadała przed blokiem. Kobiety stały stłoczone w rzędach w uliczce między blokami. Na dany znak przechodziły powoli przed komisją po pięć, a czasem pojedynczo. Idąc, musiały wyciągać ręce przed siebie, aby komisja stwierdziła, czy się nie trzęsą, albo wysoko podkasać spódnice, aby pokazać, czy na nogach nie ma wrzodów. Wiele kobiet cierpiało na to z braku witamin w organizmie. Osoby stare, chude, z owrzodzeniami były oddzielane. Jakoś szczęście mi dopisywało, bo chociaż byłam bardzo chuda, przechodziłam selekcje szczęśliwie. Odbywały się w ciszy i pozornym spokoju. Dantejskie sceny miały miejsce wówczas, gdy matki zabierano od córek. Młode dziewczęta wrywały się i szły za matkami. Wówczas zabierano je również na Jugenjdager, który był przedsionkiem śmierci. Stąd szły do komory gazowej.

Przed selekcją kobiety starały się wyglądać jak najlepiej. Z braku szminki malowały

się czerwonym papierem lub bibułą. Skrawki tego „kosmetyku” zdobyłam i ja i przed wyjściem na selekcje malowałam się dyskretnie w szybie.

Selekcje często przeprowadzała oberynka. Była to wysoka blondyna, miała duże wypukłe oczy, zawsze z lekka przymrużone, i przypominała tygrysa przed skokiem na ofiarę. Była wyniosła i na wszystkich patrzyła z góry.

Pewnego popołudnia, kiedy Jacek bawił się pod oknem 32 bloku, ona właśnie przechodziła obok. Zainteresowała się nim, przystanęła, spytała, czyje to dziecko. Znajoma pielęgniarka — Służaczka, która była właśnie blisko, odpowiedziała jej. Rozmawiały po niemiecku, zachowując odpowiedni dystans obowiązujący SS-mankę i więźniarkę. Wtedy przyszła na nią chwila słabości. Powiedziała, że ma synka, który jest bardzo do tego podobny. Wyjęła nawet fotografię z portfela i pokazała pielęgniarce. Mówiła, że dawno go nie widziała i niepokoi się o niego.

Dzięki Jackowi znały mnie także prawie wszystkie funkcyjne Polki. Wiedziały, jak drzę o dziecko, jak martwię się dzień w dzień, co będzie jutro. Zajął się mną blokowa z jedyńki, pani Barańska. Na jedyńce mieszkały pielęgniarki, kucharki, sztabowe, blokowe — więźniarki o stałych

funkcjach obozowych, przeważnie doskonale znające stosunki obozowe. Nie głodowały, miały ustabilizowaną sytuację, nie drżały codziennie o siebie tak jak ja i Eda. Pamiętały jednak, że i one były kiedyś nowicjuszkami, że nie znały swego jutra, i dlatego», gdy tylko mogły, pomagały innym. Staraly się, aby mnie i Edzie dano funkcje na 32 bloku. Dotychczas na tym bloku na jednym z jego skrzydeł między innymi przebywały „króliki”. Teraz zamierzano, organizować tu pomieszczenie dla ciężarnych.

Kobiety z różnych transportów, zwożone z całej Europy, już w grudniu zaczęły rodzić w obozie. Jedną z pierwszych, która rodziła, była znana mi tylko z imienia Basia z Krakowa, wysoka, tęga blondynka. Był grudeń, izba porodowa w 32 bloku nie była jeszcze przygotowana. Rodziła więc na rewirze. Miała cesarskie cięcie i urodziła syna. Po wyzdrowieniu zostawiła dziecko na łasce losu, a sama ochotniczo zgłosiła się na transport.

Synkiem zajęła się babuszka Kropusowa, Rosjanka. Jej dziecko w nocy udusiło się w łańchmanach, a ponieważ miała dużo pokarmu, karmiła synka Basi. Opiekowała się chłopczykiem jak rodzona matka, twierdziła, że nie da mu zemrzeć, odchowa i po wojnie zawiezie samemu Stalinowi.

Karmiony piersią rozwijał się dobrze.

W początkach stycznia rozstrzygnęła się sprawa przydziału pracy dla mnie i Edy. Wiedziałyśmy o staraniach naszych dobrych duchów opiekuńczych i byłyśmy pouczone, jak się zachować na ogniowej próbie. Zgłosiłyśmy się „nach vorne”, zameldowałyśmy się i odpowiadały po niemiecku na stawiane pytania. Najczęściej było to: „ja” lub „nein”. Niemiecki znałam trochę, poduczyłam się też niezgorzej w obozie, więc doskonale rozumiałam, czego ode mnie wymagają. Uznano więc, że znam język niemiecki i francuski (tego ani w ząb).

Na blok 32 zostałyśmy przyjęte jako pomocnice sztabowej.

Ewusia z Jackiem została na czternastce. Jacuś był odtąd na jej wyłącznej opiece przez ponad dwa miesiące i rolę mamy przejęła się bardzo. Była sama, dużo przeżywała i stała się bardzo nerwowa. Bała się o Jacka i o siebie, gdyż łapanki w obozie były coraz częstsze i zaczynało dziać się coraz gorzej, racje chleba zmalały, a pomoc w postaci „zapomóg” dla Jacka z wolna ustawała.

Dawne znajome, jak Irusia Bogasz, ginęły, kobiety ciągle się zmieniały, wiele było takich, które sądziły, że Jacek otrzymuje pomoc od tylu osób, iż zbyteczne jest coś jeszcze dodawać. Bywał więc



czasem głodny.

Ale Jacek otrzaskawszy się z obozem zaczął się usamodzielniać i chodził tam, gdzie wiedział, że coś dostanie. Był przy tym tak rozbijający swą rezolucją, że bez trudu „organizował”. Trafiał nawet do kuchni i chwalił się tym, że dozoruujący Niemiec dał mu raz plaster kiełbasy i kromkę Chleba. Czasem przynosił kilka surowych ziemniaków. Robiło się z nich po starciu na zaimprovizowanej tarce pyszną zupę. W gotowaniu narastało tego dużo, było gęste i słone. Na tym właśnie polegała pikanteria tej wykwintnej potrawy. O sól było trudno, dostawałam ją od kucharek. Gotować można było w tagesraumie, gdzie stał żelazny piecyk. Opał więźniarki musiały „organizować” w czasie pracy poza obozem i przynosić na plecach. Tego przy bramie nie odbierano, przynosiły więc chrust, kawałki węgla, drzewa na podpałkę. Gdy piec był czynny, można było chleb przypalić na węgiel, który leczył durchfall, a także gotować. Spalony chleb rozcierało się flaszka jak wałkiem na podłodze na proszek i zażywało jako lekarstwo.

Jacek też chodził na „organizację” opału i pewnego razu idąc z kuchni wpadł w ręce oberynki. Niósł cztery brykiety węgla owinięte w papier od margaryny. Nie oglądając, co niesie, oberynka zabrała „organizatora”

na „nach vorne” i tam zaczęła wypytywać, skąd ma margarynę.

Po rozwinięciu papieru wybuchł śmiech i winowajcę puszczono wolno.

### *„Fabryka aniołków”*

Pod koniec grudnia blok 32 odnowiono, wprawiono okna, kobiety tam mieszkające przeniesiono gdzie indziej. W styczniu 1945 roku do sypialni sprowadzono te, które czekały na rozwiązanie. Jadalnię zamieniono na salę dla chorych po położu i pomieszczenie dla noworodków, oddzielając je od matek szafami. Stało tam dziesięć łóżek i każde w poprzek założone niemowlętami od stóp do głów. Już w pierwszy dzień wiele było położnic i niemowląt, a sypialnia pełna ciężarnych.

Każda kobieta oczekująca rozwiązania starała się przygotować coś na przyjście dziecka. Były takie, które miały prawdziwe beciki, poszeweczki z koronkami i pieluszki, ale one były wyjątkami. Na ogół dzieci owijano w szmaty lub kawałek szarego koca. Jak na ironię, matki karmione brukwią i gorzką kawą oraz obozowym chlebem wydawały na świat śliczne, pulchne dzieci.

Poród odbywał się na rewirze. Położnice były przywożone na blok codziennie rano

na dwukołowym wózku z desek z oparciem na nogi; na noszach za nimi wieziono równo ułożone śliczne dzieci, jedne śpiące, inne wrzeszczące. Po połogu chora leżała na dolnym łóżku, następnie, w miarę jak przybywały nowe, przenosić musiała się na piętro. Położnice nie miały opieki lekarskiej, zajmowały się nimi kobiety pełniące funkcje pielęgniarek. Podawały matkom dzieci do karmienia i dwa lub trzy razy na dzień przewijały maleństwa. Najciężej chorym podawały basen. Obsłużyć wszystkie było im trudno i w przeważającej większości chore musiały pomagać sobie nawzajem. Niejedna miała przyjaciółkę w obozie, która, gdy tylko mogła, wpadała, przynosiła coś do jedzenia, opatrunki, oddawała drobne usługi. Położnice przechodziły tu prawdziwą gehennę: troska o nie objawiała się tym, że zamiast kawy rano dostawały pół litra mlecznej zupy lub coś podobnego do żurku. W ciągu dnia otrzymywały brukiew, czyli to samo, co zdrowe.

Dzieci żyły i dobrze wyglądały, dopóki wystarczała im mała ilość pokarmu z piersi matki. W miarę jak rósł ich apetyt, a w piersiach matek pokarmu nie stawało, dzieci poczynają się zmieniać. Buzieńka robiła się mniejsza, dziecko łkało, cichło i umierało. Przeciętna życia nieszczęśliwych istotek nie przekraczała czterech—sześciu tygodni. Ze

ślicznego dziecka robił się staruszek z ma-  
lutką, wydłużoną, pomarszczoną i obolałą  
twarzyczką.

Do umywalni wchodziłam ze strachem i  
ściśniętym sercem. Leżał tam zawsze w  
kącie stos małych trupków — staruszków z  
pomarszczonymi czólkami i ustami wy-  
krzywionymi w strasznym grymasie głodu i  
ból. Te, które marły wcześniej, jeszcze  
pulchne i nie zestarzałe, leżały z zaciśnię-  
tymi pod bródką piąstkami, jak gdyby spały.

Władze obozowe dokarmiały dzieci.  
Jedną z moich funkcji było chodzenie diwa  
razy dziennie po mieszanekę dla niemowląt.  
Podawałam duży aluminiowy dzban i  
czekałam za drzwiami, aż go napełnią. Z  
powrotem biegłam pędem, aby mleko nie  
ostygło. Mimo pośpiechu donosiłam ledwo  
letnie, a zanim zostało rozlane do butelek i  
podane dzieciom, było zimne. Wprawdzie  
na bloku kobiety miały piecyk, ale nie  
zawsze był opał. Położnice nie wychodziły  
do pracy i nie miał go kto „organizować”.  
Czasem tylko w piecyku się paliło i wtedy  
podgrzewały jedzenie. Najczęściej jednak  
grzały je własnym ciałem. Jedzenie dla  
dzieci było smaczne i słodkie,  
przygotowywano je w czy stych warunkach  
w kuchni rewirowej. A jednak dzieci  
chorowały na żołądki. Nie musiałam czekać  
długo, żeby się dowiedzieć, dlaczego.

Pewnego ranka ośmieliłam się wejść do kuchni. Pielęgniarka czy kucharka w bieli naląła do dzbanka mieszankę, a następnie podeszła do kranu i dołąła ponad litr zimnej wody. Nic sobie nie robiła z mojej obecności i swobodnie rozmawiała z drugą przez uchylone drzwi. Jak gdyby nigdy nic podała mi dzban i odeszła w drugą stronę, do swej roboty. Nie jestem pewna, czy na bloku za szafami nie powtarzano tego chrztu niemowlęcej mieszanki. Matki dopilnować tego nie mogły, bowiem wstęp tam był wzbroniony.

Gdy położnice zaczynały chodzić, przenoszono je na inny blok. Starąły się leżeć jak najdłużej, inaczej bowiem były traktowane jak zdrowe, musiały chodzić na apel i stać co najmniej dwie godziny na mrozie. Marły i one.

Raz na tydzień dzieci były kąpane. Przynoszono wówczas z kuchni dwa lub trzy kotły ciepłej wody. Wanienska stała obok piecyka, w którym się wówczas obowiązkowo paliło. Małeństwa leżały obok na stole, na którym je mydlono i wycierano. Tuż przy piecyku było gorąco, lecz pielęgniarce nachylonej nad wanienską zamarzał oddech. Trudno się dziwić, że po takiej kąpieli niemowlęta chorowały na zapalenie płuc i umierały. Wprawdzie dzieci z objawami choroby zanoszono na rewir pod opiekę

lekarską, ale to ich nie ratowało. Przebywały tam krócej lub dłużej, niektóre wracały jako zdrowe po to, aby tu umrzeć na oczach matki.

Gdzieś pod koniec lutego „fabrykę aniołków” przeniesiono w sąsiedztwo rewiru, do bloku 3. Samo sąsiedztwo szpitala nie pomogło i przez ten krótki okres setki dzieci urodziło się i zmarło. Ładnie chował się tylko Tomek babuszki Kropusowej, gdyż miała dużo pokarmu, była kobietą zdrową i silną, a jedzenie dla siebie umiała zdobywać. Dobrze chował się też chłopczyk Niemki Erny, która w obozie zaszła w ciążę i urodziła dziecko. Była starą więźniarką, jedną z pierwszych, a partnera znalazła podczas alarmu lotniczego. Był to jakiś SS-man, który schronił się tam, gdzie ona.

Temu dziecku nie sądzona była śmierć, czemu nie należy się dziwić, bo było „czystej” krwi i powiększało szeregi młodego pokolenia rzeszy niemieckiej. Pewnego dnia przyjechała z wolności siostra Erny z koszyczkiem i dziecko wydane jej przez władze obozowe zabrała do domu.

Wśród wielu matek zapamiętałam pewną młodą warszawiankę, dentystkę lub żonę dentysty. Opowiadała o sobie i o tym, jak bardzo ubolewali z mężem, że nie mają dziecka. Mijały lata, dziecka nie było- i oto

przed powitaniem okazało się, że jednak będzie.

Warszawa płonąła, kobieta chciała ratować siebie i dziecko i nałożyła białą chusteczkę. Oszukana jak tysiące innych znalazła się w baraku w Ravensbrück i tu urodziła chłopczyka. Patrzyła na umierające dzieci i za wszelką cenę pragnęła uratować swoje. Zaraz po porodzie zaczęła chodzić i pielęgnowała dziecko, „organizowała” dla niego mleko w proszku, ale i jej synka spotkał los setek innych. Dziecko rozchorowało się i konało długo. Szalała z rozpaczy i każdy ruch rączką, każdy grymas maleńkiej buzi brała za powrót do życia. To płakała i rwała włosy, to znów wołała: „Żyje! Żyje!” Zaczepiała przechodzące kobiety i pytała: „Prawda, że żyje? Prawda, że żyje?” Dzieciatko leżało w agonii na końcu stołu, a po drugiej jego stronie ja karmiłam Jacka chlebem i czarną kawą. Przyszedł do mnie z czternastki z Ewusią. Ewa przyniosła chleb swój i Jacka, aby go u mnie przechować, bo na bloku kobiety zaczęły się okradać. Jacuś był nieswój. Nie chciał jeść. Strach tamtej kobiety zaczął udzielać się i mnie. Gdy ona wołała: „Żyje! Żyje!”, ja, gdy wmusiłam w Jacka kęs chleba lub łyk kawy, zwracałam się ucieszona do Ewusi i mówiłam: „Je! Je!” W pewnej chwili zgasło światło i nad stołem

zaległa ciemność. Mimo iż odruchowo całym ciałem rzuciłam się naprzód, aby ukryć chleb, poczułam czyjeś ręce. Myślałam, że to Ewusia, lecz gdy za chwilę światło zabłysło, z chleba nie zostało ani śladu.

Była to pora kolacji, wokół kręciły się kobiety, widziały przede mną pół bochenka i wykorzystując ciemność, skradły. Na dzień następny Ewusia i Jacek pozostali bez chleba. Ta scena rozgrywała się na stole, a pod stołem na podłodze leżały cztery trupki. Wkrótce i to dziecko znalazło się tam jako piąte.

Innego dnia Ewusia stała się świadkiem tragedii młodej Cyganki kochającej obłędnie swoje dziecko. Miało już około dwóch miesięcy, kiedy matce zaczęło brakować pokarmu. Głodne dziecko płakało, chorowało i niknęło w oczach. Dokarmiła je mieszanką i swym żurkiem, ale pokarmu z piersi matki nic nie mogło zastąpić. Nie pomogła też przysłowiowa cygańska odporność. Z trzeciaka pod sufitem, gdzie mieszkała, dochodziło tylko ciche łkanie, czasem głośny bolesny płacz, gdy maleństwo cierpiało na silne bóle. Oddałaby wszystko, aby je ratować, oddałaby mu też swój chleb i brukiew. Niestety, tym nakarmić dziecka nie mogła, a dla niej samej było za mało, by jej organizm



mógł wytwarzać potrzebną ilość pokarmu. Wychodziła, biegła to tu, to tam, szukała żeru jak głodna samica i wracała do małości bezradna i zrozpaczona. Oszukiwała dziecko próżną piersią.

W dniu, w którym przyszła Ewusia, rozpacz jej sięgała granic obłędu.

Zrozumiała, że i jej dziecko musi umrzeć jak setki innych. Nie mogąc się z tym pogodzić, zadusiła je własnymi rękami, po czym popełniła samobójstwo.

Pewnego dnia jedna z kobiet, stara, chuda i wynędzniała, dostała silnych bólów, zaczęła krzyczeć i płakać, i prosić pomocy. Jedne towarzyszki niedoli ją uspakajały, inne — a takich było więcej — oburzały się, że nie daje im spać. Patrząc na nią, nikt nie posądziłby ją o ciążę, jej poważny stan ginął w chudości okrytej ubiorem nie na miarę. Prędko, jak tylko mogłam, pobiegłam na rewir, skontaktowałam się z lekarką i pielęgniarką. Przynaglałam, kogo mogłam i jak mogłam, i w końcu wysłali na blok aku-szerkę. Biegłyśmy pędem. Na miejsce dopadłyśmy zdyszane, ale okazało się, żeśmy się spóźniły. Już po krzyku i bólach. Kobieta leżała jak nieżywa w kałuży krwi. W jej łachmanach znaleziono dwoje maleńkich dzieci — bliźnięt. Jeszcze raz pobiegłam na rewir i prosiłam o przysłanie wózka. Przysłali, zabrali ją i dzieci.

Dalszego ich losu nie znam, więźniarka na blok matek już nie wróciła i nigdzie już nikt jej nie widział.

Lecz żadna z nas, które byłyśmy świadkami tej tragedii, nie miała złudzeń...

Czasem, gdy wcześniej skończyłam swoje zajęcia, biegłam za zgodą sztabowej na czternastkę do Ewusi i Jacka. Trafiało się to nieczęsto, bo pracy miałam dużo. Lubiłam te chwile u dzieci. Mogłam tam odechnąć od jęku, zgiełku i płaczu niemowląt, a także porozmawiać ze starymi znajomymi, których było coraz mniej. W czasie jednej takiej wizyty sąsiadka z najbliższego łóżka, policjantka, Janina Pawlak ze Lwowa, opowiadała swoją nocną przygodę.

Miała służbę na placu, gdzie leżały stosy jarzyn: ziemniaki, kapusta, jarmuż, brukiew, marchew — zwożone autami zapasy na najbliższe 24 godziny. Mimo surowych kar odważniejsze więźniarki podkradały się i chwytaly, co się dało. Pilnowali tego Niemcy i policjantki. Mróz był silny. Janina siedziała w pobliżu, zmarznięta i skulona, i chuchała w ręce. Noc była jasna, lampy pogaszone. Zobaczyła, że od strony rewiru ktoś idzie w jej stronę. Postać ta miała wyciągnięte przed siebie ręce i w poświacie jasnej zimowej nocy wyglądała niesamowicie, jak śmierć.

„To nie człowiek” — przebiegło przez myśl policjantce, ogarnął ją strach, zerwała się i co sił w nogach pobiegła do pobliskiej kotłowni. Postać sunęła za nią. Policjantka pchnęła drzwi, ale oblodzone nie dawały się otworzyć. Szamotała się z nimi, a postać tuż-tuż. Gdy policjantka wpadła do środka, domniemana śmierć przez nie domknięte drzwi wsunęła długą kościstą rękę i coś bełkotała.

Wewnątrz siedziała aufzejerka z SS-manem, którzy tu przyszli się ogrzać, był też i palacz. Skoczyli do drzwi. Okazało się, że tą niesamowitą postacią była kobieta wyrzucona z rewiru jako trup na kupę innych. Była zupełnie naga, prawdziwa deska, a raczej kości powleczone skórą. Była to Francuzka. Widocznie wyrzucono ją niedawno. Zbudziło ją zimno, zanim mróz roztoczył nad nią swe złudne ciepło i uśpił na zawsze. Zwłokła się ze stosu trupów i kierowana instynktem samozachowawczym ruszyła przed siebie. Czymś ją zakryli, posadzili na stołku, dali nawet coś przełknąć, ale to jej nie uratowało. Umarła chwilę potem.

Policjantka mówiła, że gdyby zdarzyło się to w dzień, nie zrobiłoby to na niej takiego wrażenia. Wiedziała, że mówi prawdę, bo w obozie wszyscy codziennie patrzyli na trupy, na śmierć, która stała się rzeczą powszednią i widok jej nie przerażał.

Lecz „śmierć” chodząca nocą to widok, którego mogą nie wytrzymać najsilniejsze nerwy.

Ludzie tak się ze śmiercią oswoili, że z czasem ich stosunek do niej zaczął mieć w sobie coś wulgarnego.

Zmarłe wrzucano na stos nagie lub w jakiejś koszulinie, z rozczochranymi włosami, rozcapierzonymi palcami, często z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ustami — jamą, z której wydarto złoto.

Codziennie można było widzieć wóz gumowy, obsługiwany przez łachmaniarki. Kilka z nich ciągnęło dyszel, inne popychały go z tyłu. Podjeżdżały pod bloki i z umywalni wносиły nagie trupy. Brały trupa za ręce i nogi, ciągnęły po ziemi, a przed swoim „karawanem” chwytaly ciało, rozhuśtywały i wrzucały na wóz. Od bloku do bloku włókł się ten karawan i napełniał sterczącymi sztywno rękami, nogami i sino plamistymi twarzami. O wygodę tych, które jeszcze niedawno; były ludźmi, kobietami, których serca biły, kochały, radowały się kiedyś i smuciły, nikt nie dbał. Rzucona nieraz na dno wozu dziewczyna wlokła swe piękne włosy po ziemi.

Kiedy więźniarki ruszały, krzyczały „Kalbfleisch, Kalbfleisch — cielęcina, cielęcina!” i oglądały się za siebie, szukając aprobaty na twarzach towarzyszek. Czy nie

rozumiały, że jutro lub za miesiąc one być może pojedą do krematorium na takim samym karawanie?

Cierpienia, konanie były widokiem codziennym. Sycono nim oczy kobiet znacznie obficie niżeli ich żołądki brukwią. Staralam się uciekać od tych widoków jak najdalej, lecz było to trudne. W miarę jak mijał czas, tępiałam.

Majestat śmierci niknął i malał, jak gdyby przestawał istnieć na tym olbrzymim kwadracie odrutowanej ziemi.

Czasem zachodziłam do Ady Drygalskiej na 24 blok. Poszłam tam pewnego dnia i zobaczyłam cały tagesraum wypełniony łózkami zbitymi naprędce z desek. Leżały na nich kobiety chore na jakąś dziwną chorobę. Żółte, opuchłe twarze, nabrzmiałe usta i oczy zalane żółtą ropą. Stałam jak wryta. Ogarnęłam wzrokiem wszystkie łóżka — wszędzie ten sam widok. Beładne ruchy rąk, głowy poruszające się to w tę, to w drugą stronę, a w oczach skierowanych na mnie niema prośba o pomoc. Ogarnęło mnie przerażenie. Przez głowę przebiegła mi myśl, że wyniosę stąd zarazę, że zachorują moje dzieci. Nie wiedziałam, co się stało, gdzie jestem. Uciekłam. Nie szukałam już Ady na drugim skrzydle baraku. To wspomnienie prześladowało mnie przez

parę następnych dni. Na bloku niemowląt śmierć zbierała swe obfite żniwo w dzień i w nocy. Rozgrywające się tu tragedie nie powstrzymywały pewnych osób, na szczęście wyjątków, od głupich kawałów. Sama padłam ofiarą takiego makabrycznego żartu. Weszłam do umywalni i stanęłam oko w oko z nagim trupem kobiety ustawionym w kącie za drzwiami, tuż obok pierwszej umywalki. Nieraz tu wchodziłam, brałam wodę lub myłam się w towarzystwie trupków dzieci w kącie. Lecz ten stojący samotnie przeraził mnie.

Oburzenie i wstyd ogarniały mnie, gdy patrzyłam, jak niektóre pielęgniarki wyciągały z becika lub łachmanów zastygłe, sztywne ciało, chwyciły za nóżeta i straszły się, z chichotem podsuwając sobie pod nos martwą figurkę. Będąc jeszcze na czternastce słyszałam, jak opowiadano, że pewna sztabowa kazała się wołać, ilekroć na jej skrzydle umierała któraś z kobiet. Lubiła po prostu obserwować kończące się życie.

### *Pomoc współwięźniarek*

Z końcem lutego ciężarne, położnice i dzieci przeniesiono do innego bloku, bliżej

rewiru, i cały nasz blok zmieniono na normalny, ściślej mówiąc, przejściowy. Pozostawiono mnie na nim i dalej wykonywałam swą funkcję. Nie cieszyłam się nią długo, tylko trzy tygodnie, bo przy formowaniu szeregów na apelu nie mogłam sobie dać rady, nie umiałam kłać ani poganiać opieszających. Blokowa i sztabowa patrzyły na to przez palce, ale kiedy na mojej bezradności przyłapała mnie aufzejerka, wyleciałam „z posady” jak z procy.

Zastałam zwyczajną ferfugą. Dola ferfugi nie była łatwa. Jeżeli nie umiała się ukryć, używana była do najcięższych i najgorszych prac, na przykład przy uprzątnięciu trupów, nieczystości ludzkich. A jednak byłam zadowolona, tym bardziej że moje dobre duchy załatwiły przeniesienie dzieci z bloku 14. Blok, w którym zamieszkaliśmy, miał tę zaletę, że był przejściowy, dla transportów, jego mieszkanki często się zmieniały i łatwiej można było się kryć i wymigiwać od roboty, mając poparcie funkcyjnych Polek. Pomyślne dla mnie było także to, że w drugim skrzydle została na swej funkcji pomocnicy Eda, do której uciekałam i kryłam się za szafami, gdy mnie wyznaczano do któregoś z komand na roboty poza blok. Gdy komanda odeszły, wracałam i dzień toczył się spokojnie.

W miarę jak wciągały mnie tryby obozowego życia, poznawałam coraz lepiej ten dziwny i zarazem makabryczny świat. Patrzyłam na bezmiar nędzy, bicia i maltretowanie kobiet. Nieraz zastanawiałam się, czy tylko naszej „głowie rodziny” zawdzięczam utrzymywanie się na powierzchni tej bagnistej topieli. W godzinach beczynności zdobywanej ucieczką z pracy, w bezsennych godzinach nocnych przesuwają mi się w myślach obrazy tego, co przeszłam, i dziwiłam się, że los jest dla mnie mimo wszystko tak bardzo łaskawy.

Jak to się działo, że z usposobienia mało przedsiębiorcza, raczej niezaradna, żyłam jeszcze w tym piekle, żyły moje dzieci nie zagłodzone na śmierć, Ewusia nie musiała pracować. Pomoc mogły nieść tylko funkcyjne, a te nie zawsze spisywały się bez zarzutu w stosunku do swoich współtowarzyszek niedoli. Takich, którym władza nie uderzała do głowy, była mniejszość i nie zawsze mogły nieść pomoc więźniarkom.

Będąc krótki czas pomocnicą sztabowej na bloku dla ciężarnych patrzyłam na wszystko z bliska i przekonałam się, jak trudno jej było osiągnąć ideał, który zadowalałby wszystkich — to znaczy i więźniarki, i władze obozowe. Moja sztabowa, stara więźniarka z numerem



2000, niejaka Eli Kukurtz, Niemka, komunistka, bezwzględna i wymagająca posłuchu, była czymś pośrednim pomiędzy złą a dobrą. Niejedna od niej oberwała, lecz odnosiłam wrażenie, że siła się na obiektywizm i sprawiedliwość.

W warunkach obozowych cechy te były nie lada rzadkością, niweczyły je często same więźniarki brakiem karności i zdyscyplinowania. Były takie, które świętego mogły wyprowadzić z równowagi swą głupotą i uporem i najlepszą funkcyjną przeistoczyć z wolna w sadystkę.

Najmniej liczną grupę chętnych do niesienia pomocy stanowiły policjantki. Dobre i przyjaźnie nastawione można było policzyć na palcach.

Ja jednak już na tyle otrzaskałam się z obozem, a dzięki Jacusiowi tyle zdobyłam przyjaciółek, że zaskarbiłam sobie także sympatię kilku bardzo wartościowych funkcyjnych i kilku policjantek w naszej okolicy. Zawsze bowiem starałam się trzymać tylko swojej dzielnicy w tym mieście baraków.

Z żywnością było coraz gorzej, głód zaczął szczyrzyć zęby w całym obozie. Racje chlebowe mały i dochodziły do siódmej części kilograma na osobę. Do tego chochla wodzianki i czarnej kawy miały starczyć na 24 godziny przy ciężkiej, nieraz ponad siły

pracy. W poszukiwaniu żywności kobiety wygłodzone do ostatnich granic nie omijały i śmietników. Stare, niezaradne, pędzone głodem grzebały w nich, wyławiały wysane już przez więźniarki odpadki zdrewniałej brukwi, gnijącą marchew i zjadały. Przyłapano na tym były karane bardzo surowo, lecz to ich nie odstraszało.

Któregoś dnia przechodziłam przez blok ze swoimi porcjami chleba. Nagle zatrzymała mnie jakaś kobieta, która zaproponowała mi piękny gruby złoty łańcuszek z medalikiem za trzymany przeze mnie chleb. Oczy świeciły się jej do tej transakcji. Myślała, że trzy siódme bochenka mam dla siebie tylko, i była pewna, że się zgodzę. Musiała jednak odejść z niczym. Nie dałam się skusić.

Transportów kobiet z wolności prawie już nie było. Te, które przybywały i odpływały, pochodziły z innych ewakuowanych lagrów. Na naszym przejściowym bloku kwaterował coraz to inny transport. Gdy odchodził, poddawany był rewizji. SS-mani przetrząsali nędzne tłumoczki tych kobiet i z setek wyławiali jednostki, którym długo udawało się coś ukrywać po to, aby tu stracić. Odbierano nie tylko rzeczy wartościowe, ale i rzeczy codziennego użytku.

Pamiętam, jak podczas rewizji znaleziono u kobiet z takiego transportu duże ilości białych i czarnych szpulek nici. Był to transport, który pracował gdzieś w szwalniach i miał możliwość „organizowania” tego łakomego towaru.

SS-manka kazała posortować te nici kolorami i odnieść do kamery. Sama tego nie dopilnowała, ktoś ją odwołał, a wtedy więźniarki zaczęły „organizować” tysięczmetrowe szpulki. Dużo ich rzuciły w rozpalony piec, aby umniejszyć niemiecką zdobycz, lecz i tak jeszcze dość dużo powędrowało w koszach do kamery.

Innym razem odebrano kobietom wiele srebrnych łyżek. Pracowały zapewne gdzieś po magazynach i wzięły je, bo wołały jadać srebrną niż drewnianą. Były to rzeczy małej wartości, lecz i ich nie darowano. Tylko bardzo nieliczne z kobiet przemycały drobną biżuterię, jak na przykład pierścionek lub obrączkę ślubną. Obdziergane to było nićmi i wszyte gdzieś w gruby fałd więziennego ubrania. Jedyłą moją „organizacją” w czasie całego pobytu w obozie były cztery srebrne łyżki, które skradłam z kosza przygotowanego do odesłania do kamery.

„Zapomogi” dla Jacka ustały zupełnie, zaczął mizernieć i blednąć, ale był zdrowy. W dzień, gdy było ładnie, lubił bawić się

przed blokiem. Pozwalałam mu zbierać nie zawsze czyste przedmioty, kamyczki, budować domki, robić babki z piasku. Stwarzał sobie swój własny światek, a tego zabronić mu nie mogłam, poza tym potrzebował powietrza. W obozie zadomowił się, uzyskał „obywatelstwo” nie mając obowiązków — nie potrzebował się ukrywać ani uciekać z komand roboczych. Po obozie i blokach biegał jak jasna oswojona myszka.

Pewnego dnia wpadł na jeden z bloków w porze obiadowej i zastał tam aufzejerkę, która dopiero co przyniosła swoją zupę w grubej fajansowej misce. Znała go i poczęstowała odrobiną. Po chwili ktoś ją odwołał i odeszła. Gdy wróciła, w misce były tylko resztki ze smakowitego ryżu z sosem i mięsem. Jacek spałaszował prawie wszystko, najspokojniej powiedział: „Danke” i zabrał się do jakiejś zabawy. Aufzejerka stłukła miskę na dowód, że się potknęła i rozlała jedzenie, i poszła ze skorupami po drugą porcję. Sztubowa, naoczny świadek tego wydarzenia, opowiadała mi to ze śmiechem. Była to jedna z obfitszych „organizacji” Jacusia. W obozie działało się gorzej z dnia na dzień, ale dla Jacusia każda z kobiet miała chociaż odrobinę. Często nam się gdzieś zawieruszał i gdy długo nie wracał, obie z Ewusią szukałyśmy go. Nie wiedziałam, że więźniarki „pożyczają” go sobie

ode mnie i załatwiają przy jego pomocy różne sprawy. Bywał więc przemytnikiem, innym razem prowadzony za rączkę przez „mamę” szedł po ciepłą wodę, potrzebną do wyprania czegoś dla dziecka. Takie „mamy” wracając na blok umiały uniknąć spotkania z aufzejerkami, a ciepłą wodą myły sobie głowę lub coś przepierały. Kobiety z innych bloków zabierały Jacusia, by się nim pobawić, nacieszyć, by na chwilę zastąpił im własne dziecko pozostawione w domu, za którym tęskniły.

Mężczyźni idący do pracy do zakładów Siemensu używali go do przenoszenia przez bramę drobnych przedmiotów na handel. Prowadzony za rączkę prznosił w kieszeniach bluzeczki lub pod płaszczkiem szmuglowany towar. On sam nie zdawał sobie sprawy, co przynosi, lecz wiedział, że po takim spacerze dostanie kostkę cukru, czasem kromeczkę chleba, a nawet ciastko z jakiejś paczki. Opowiadały mi o tym te więźniarki, które same korzystały z jego usług, mówiąc przy tym, że przy tej tarczy, jaką był Jacek, zawsze im się udawało. Mówiły też, że dawniej, na jakieś pół roku przed naszym transportem, byłoby to zadanie trudne nawet dla Jacka.

Wieczorem któregoś dnia usłyszałam wołanie: „Pani Jackowa, pani Jackowa, do blokowej! Prędko!” Pobiegałam i zastałam

tam aufzejerkę. Siedziała bez bluzy mundurowej i rozmawiała z blokową, ową Luksemiburką tak dobrą dla mnie i dla moich dzieci. Kiedy zbliżyłam się, wysypała na stół z grubej koperty zegarek męski „Omega” i ślubną obrączkę. Kazała mi wziąć to do ręki, obejrzeć i zapytała, czy znam te przedmioty. Powiedziałam, że to rzeczy mego męża. Na moje pytanie, skąd się tu wzięły, nie odpowiedziała.

W czasie tej rozmowy nie była szorstka, raczej wyjątkowo uprzejma, zamieniła jeszcze ze mną parę zdań i kazała odejść. Głowiłam się, co to znaczy, łudziłam się, że może nas wyślą na tak zwane wolne roboty. Lecz z wolna uświadamiałam sobie, że te rzeczy przysły za więźniem z Sachsenhausen. Miejsce nadziei zajęła troska.

### *Spotkanie z Andrzejem*

W lutym 1945 roku z grypsu Andrzeja dowiedziałam się, że tatusia wysłali znowu na transport, podobno do Sachsenhausen. Andrzej pozostał z Tomem sam wśród małych Cyganów.

Któregoś dnia w końcu lutego przybiegła do mnie jedna z policjantek i woła: „Pani Jackowa, pani starszy syn jest na obozie, niech pani prędko idzie, to go pani

zobaczy!” Pobiegłam i dowiedziałam się, że Andrzej jest prowadzony z chorymi mężczyznami na rewir do prześwietlenia.

Złękłam się, że jest chory, a w dodatku na pewno głodny, wróciłam na blok, chwyciłam osiem kostek cukru i co tchu pobiegłam z powrotem na rewir. Byli jeszcze wewnątrz, więc zaczekałam u wejścia. Myślałam o niemieckiej hipokryzji. Tego samego człowieka, którego dziś niby leczą, jutro mordują. Za chwilę otworzono drzwi i zobaczyłam sunące wolno postacie męskie w pasiakach.

Byli wynędzniali do ostatnich granic, nie wszyscy szli o własnych siłach, wielu podtrzymywali koledzy. Serce ścisnęło mi się na ten widok i pomyślałam o mężu. Na końcu tego pochodu szedł Andrzej strasznie wymizerowany, blady, obsypany strupami wokół ust i nosa.

Zobaczył mnie, ale podejść do mnie nie mógł. Przed rewirem koledzy ładowali na platformę wozu tych kilka żywych trupów. Jeszcze moment i ruszą. Doskoczyłam do SS-mana, komendanta eskorty, wskazałam Andrzeja, powiedziałam: „Sohn” i poprosiłam, żeby pozwolił mi podać chłopcu cukier. Nie miał czasu zezwolić ani zabronić, bo nie czekając na odpowiedź dopadłam Andrzeja, uściskałam go i wcisnęłam mu cukier. Ruszali już,

zdążyłam tylko szepnąć: „Andrzejku!”, a on: „Mamo!”

Szłam za nimi, aż zniknęli za bramą. Nie dowiedziałam się, co mu jest i jak długo choruje. Płakałam. Odtąd nie miałam spokoju aż do odebrania grypsu i rozmowy z więźniami, którzy przyszli do naprawy kanału. Jeden z nich niby rozmawiał z kolegami, ale to, co mówił, przeznaczone było dla mnie. Dowiedziałam się, że Andrzej miał grypę z wysoką gorączką. Na szczęście zaopiekował się nim lekarz, Czech, i wylizał się. Leżał na rewirze z chorymi na tyfus, spał na jednym łóżku z Tomem, który także był chory, a mimo to nie zaraził się. Na szczęście tuż przed naszym aresztowaniem byliśmy dwu- lub trzykrotnie szczepieni i to go uratowało. Dzięki temu też, kiedy Jacuś i ja chorowaliśmy na durchfall, przeszliśmy tę chorobę lżej i krótko u nas trwała. Od Polek z rewiru dostawałam zwęglony chleb i tanalbinę w pastylkach i tym leczylismy się.

## *Wiosna*

Mijały dni i tygodnie, zbliżała się wiosna. Tu i ówdzie na trawnikach przy Lagrowej zaczynała się pokazywać trawa. Coraz częściej z obozu męskiego musiały



przychodzić kolumny mężczyzn do naprawy psującej się ciągle kanalizacji. Dawało się to nam dobrze we znaki, bo nie można było korzystać z ubikacji. Panował niesamowity smród, nieraz brakowało wody. Do czasu naprawienia awarii baraki przedstawiały okropny widok. Kolumny robocze doprowadzały to na jakiś czas do porządku, a za parę dni znowu wszystko zaczynało się od nowa.

Z obozu kobiecego odchodziły teraz coraz częściej transporty i nasz stan liczebny zmniejszał się. Życie toczyło się niby bez zmian, czasem tylko przychodził jakiś transport, ale wyczuwało się, że zaczyna się coś dziać. Wiedziałyśmy, że Niemcy są bici na wszystkich frontach. Śrubki niemieckiego zegara wycierały się, zaczynał szwankować, lecz jeszcze chodził. W obozie było gorzej z dnia na dzień, zaczynał się głód. Kobiety chorowały na biegunkę i umierały z głodu. Raz czy dwa zabrakło nawet minimalnych porcji chleba. Dla głodujących dalsze przedłużanie głodówki o dwadzieścia cztery godziny było nieraz śmiertelne.

Alarmy lotnicze powtarzały się teraz coraz częściej. Samoloty przelatywały nad obozem, lecz na sam obóz nie spadła ani jedna bomba. Wiedziałyśmy, że nie zrobią

nam krzywdy, i każdy „Flieger Alarm” nappełniał nas radością. Pewnej nocy bombardowano miasto Oranienburg, chodziły potem słuchy, że zbombardowano i Sachsenhausen i że zginęło wielu więźniów. To bombardowanie było niezwykle silne.

Mimo że od Sachsenhausen dzieliła nas odległość kilkudziesięciu kilometrów, wydawało się nam, że bomby padają tuż-tuż. Wstrząsy były tak silne, że czekałyśmy, kiedy barak zwali się nam na głowy.

Dopiero potem dowiedziałam się, że rzeczywiście zbombardowane zostały poza samym miastem Oranienburg filie przemysłowe obozu Sachsenhausen, że rzeczywiście wielu więźniów było zabitych i rannych.

Kiedyś, podczas alarmu, przeżyłyśmy z Ewusią okropne chwile. Pozamykali już drzwi i okna, a Jacusia, który przed chwilą tu był, nie ma. Mimo że starałyśmy się nie spuszczać go z oka, czasem wymykał się i biegł na któryś z sąsiednich bloków. Za jego bieganie po ulicach między blokami już nieraz zbeształa mnie aufzejerka i kazała dziecko trzymać w bloku. Ale nie mogłam przecież uwiązać go do nogi łóżka lub wodzić na smyczy. Z natury spryciarz, wiedział, kiedy się ulotnić, a gdy był już poza drzwiami, od razu znajdował sobie zabawę lub towarzystwo. Najczęściej któraś z

przechodzących kobiet zagadała do niego, pomogła w zabawie lub zabrała na spacer. Zwykle po jakimś czasie przyprowadzały go z powrotem, wiedząc, jak się o niego niepokoję. Gorzej bywało, gdy mieszkanka dalszych bloków wydzierżawiała go sobie na dłużej, a potem tylko podprowadzała w pobliże.

Zaczął się alarm, a ja wyrzucałam sobie, że go źle pilnowałam. Zrozpaczona widziałam już, jak leży gdzieś skulony i drży ze strachu od warkotu motorów i detonacji. Minuty były długie jak wieczność.

Tymczasem po alarmie zbieg wrócił sam, z tęgą miną i bez strachu.

Przez Jacka zawarłam znajomość z pewną Francuzką, artystką. Ona nie знаła niemieckiego, a ja francuskiego, ale jakoś dogadałyśmy się. Była naszą sąsiadką z dalszych łóżek. Trudno mi określić jej wiek, nie była ani stara, ani młoda, twarz miała ładną i bardzo interesującą, głowę okoloną aureolą szpakowatych włosów. Rysy piękne, w ruchach wdzięk. Była bardzo niezaradna. Pewnego dnia zachorowała. Nie udało jej się dostać na rewir, gdzie lekarki więźniarki mogłyby jej pomóc. Gdy była już bardzo chora i nieprzytomna, wyniesiono ją z sypialni i ułożono w pierwszej sali na trzech wąskich stołkach. Leżała tam około dwóch dni, omijana przez

inne kobiety. Na jej ciele wystąpiły plamy, a każda z nas bała się tyfusu i śmierci przed końcem wojny. Umarła nie odzyskując przytomności.

Inna jej rodaczka, którą znałam, miała więcej szczęścia. Mówiła po niemiecku, więc rozumialiśmy się dobrze. Była żoną bankiera. Miała około dwudziestu dwóch lat, była bardzo ładna, o ślicznych kasztanowych włosach. Nie chcąc się rozstać z drogocennym pierścieniem, połknęła go. Prześwietili ją, zabrali pierścień i wsadzili do bunkra. Pokazywała na ramionach i nogach rany od pogryzienia przez szczury. Pierwej aniżeli my, Polki, doczekała wolności.

### *Wolność*

Wolność! Co za cudowne słowo! Zbliżała się do nas wraz z wiosną. Nie uporządkowane kwietniki zieleniły się coraz śmieiej, nabrzmiewały pąki na krzewach. Coraz częściej zaczynało się mówić o kobietach wychodzących na wolność, o interwencjach Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Z biura obozowego, gdzie więźniarki Polki miały również pewne funkcje, przeciekały wiadomości, że zanoszą się na zwolnienia i wyjazdy. Nie wiedziałyśmy, co

o tym sądzić, i różnie to było komentowane. Jedne wierzyły, inne podejrzewały, że opuścimy obóz tylko przez komin, który ciągle jeszcze dymił. Głód doskwierał straszliwie, rano podawano nam czystą gorzką kawę i nic więcej. O fusy z dna kotła staczano walki. Na obiad trzy lub cztery ziemniaki, chochła wodzianki, w której czasem udawało się znaleźć ziarno gotowanej pszenicy.

Na cygańskim bloku było prawdziwe piekło. Wyremontowany, zamienił się szybko w ruinę. Panował tam niesamowity brud. Na barłogach leżały rozbebeszone sienniki, nie było szyb w oknach, wieszano więc koce. Kobiety mówiły, że wszystkie młode Cyganki poddawane są sterylizacji. Pierwsze paczki nadeszły do obozu jesienią 1944 roku. Były wysyłane przez Szwedzki Czerwony Krzyż, ważyły pięć kilo. Dostały je Żydówki, potem Francuzki. Przydzielono po jednej paczce na osobę. Nam, Polkom, wydano jedną na pięć. I oto zaszło coś, co nie zdarzyło się jeszcze w historii Ravensbrück. Polki zastrajkowały i paczek nie przyjęły. Zarząd obozu nie ukarał zbuntowanych i uznał za właściwe tłumaczyć się, a nie bić. Wyjaśniono, że Polek w obozie jest najwięcej i dlatego rozdzielono paczki w ten sposób. Po kilku dniach dano nam je, lecz już jedną na trzy kobiety.

Wyglądzone, nie strajkowałyśmy tym razem i te paczki przyjęłyśmy. W pierwszej dekadzie kwietnia w obozie było już dużo paczek UNRRA, z których powyjmowano tylko papierosy. Paczki rozwożono po blokach lub wydawano przez okno kobietom ustawionym w kolejce. Dostałam na nas troje trzy paczki pięciokilogramowe. Było w nich mleko w proszku, czekolada, konserwy mięsne, suchary, nie było tylko chleba. Dni mijały. Od pracujących w magazynach dowiadywałyśmy się, że Niemcy zaczynają wywozić co cenniejszy majątek zrabowany w Europie, wydarty więźniom. Wiadomości o sytuacji na froncie miałyśmy bardzo skąpe. Cała nasza uwaga skierowana była na utrzymanie się przy życiu. Od chwili otrzymania paczek poczułyśmy się tak, jakby świat uśmiechnął się do nas. Dni stawały się cieplejsze, od czasu do czasu wyjrzało słońce i mogłam już czasem ubrać Jacusia lżej, a nawet umyć. Myjąc go po raz pierwszy całego zmartwiłam się, gdy zobaczyłam, co z niego zostało. Ręce i nóżki cienkie jak patyki, a brzusek duży jak bęben. Żeberka na piersi można było policzyć z daleka. — Popatrz — mówię do Ewusi — jaki on ma brzusek, jakie ręce i nogi. Pewnie to angielska choroba. Na to Jacek powiada: — Nie, mamusiu, ja na pewno jestem w ciąży.

Zbliżał się koniec kwietnia. W jakiś pochmurny dzień uprałam kilka kawałków bielizny i zawiesiłam na drutach, przez które już dziś nie płynął prąd. Wracając na blok jeszcze z mokrymi rękami, natknęłam się w progu na Niemkę, więźniarkę, która umiała wróżyć. Przypomniałam jej, że obiecała mi powróżyć. Rozłożyła na dłoni karty i zaczęła: „Czeka panią droga przez wodę. Jakiś młody chłopiec...”

Nie dane mi było dowiedzieć się, co mnie jeszcze czeka, bo nagle zawyły syreny, a zaraz potem rozległy się krzyki i nawoływania: „Alle Polin heraus, alle Sachen mitnehmen! Aber schnell, schnell!”

Nie Wiem, czy miałyśmy piętnaście minut, by zebrać swoje rzeczy i stanąć w szeregach „zu fünf”.

Ponieważ od miesiąca mówiło się o ewakuacji obozu, o jego zaminowaniu i wysadzeniu w powietrze, a nawet o wypuszczeniu nas na wolność, każda więźniarka szykowała na wszelki wypadek jakiś worek, aby włożyć do niego swoje rzeczy.

Ja miałam przygotowane dwa worki. Szybko wrzuciłam do jednego resztki z paczek, kawałeczek chleba, do drugiego koc. Drugi koc zwinęłam po wojskowemu, związałam końce i założyłam Jackowi na szyję. Tak spakowani wyszliśmy przed

blok. Stał już tam tłum rozgorączkowanych kobiet. Ustawiłam się z dziećmi w pierwszej piątce, obok nas Eda z Irusią, czekamy. Z bloku wybiegła nieszczęśliwa Lehnerowa, nic nie wiedząc o Tomku, aby się z nami pożegnać. Czeszki, Węgierki, Rosjanki i inne zazdrościły nam, chociaż ani one, ani my nie wiedziałyśmy, czego. Z Lehnerową wymieniliśmy adresy, niestety jej adres w późniejszych perypetiach zgubiłam.

Te, które nas żegnały, przypuszczały, że idziemy na wolność, i tak jak przed paru dniami odeszły Francuzki. Chciałyśmy w to wierzyć i serca nam biły. Na przemian ogarniały nas uczucia to radości, to niepewności. Stojąc tak, patrzyłyśmy, jak w stronę ulicy Lagrowej maszerowały inne kobiety. Nasz blok był ostatni i ostatni postawiony w stan pogotowia. W końcu ruszyłyśmy i my.

Na Lagrowej panował niezwykły ruch. Nie bito już nas i nie wymyślano, mimo że łamałyśmy szeregi. Wolno posuwałyśmy się naprzód, aż do miejsca, gdzie zrywano nam z rękawów numery i notowano personalia. Jackowi Niemiec zabrał numer z płaszcza, ten na bluzeczce przeoczył. Kobiety musiały oddać numery z płaszcza i sukienki.

Gdyśmy tak stały, ja zapłakana, pełna niepokoju o Andrzejka, podeszła do nas



młoda aufzejerka z bloku 1 i zagadała do Jacka, który już wcale dobrze rozumiał i zaczynał mówić po niemiecku. Potem zwróciła się do mnie i zapytała, czemu płaczę. Wyjaśniłam, że martwię się, bo nie wiem, co się dzieje z moim synem, i poprosiłam, żeby pomogła mi go odzyskać.

Pomyślała dłuższą chwilę i powiedziała: „Komm”. Zostawiłam tłumok i poszłam za nią. Weszłyśmy do bloku, w którym miał swe biuro komendant obozu. Minęłyśmy pierwszy pokój, gdzie siedziało kilka maszynistek, i kiedy już wchodziłyśmy w drugie drzwi, nagle ukazał się SS-man Pflaum, kierownik Biura Pracy. Aufzejerka zameldowała się i powiedziała, gdzie i po co idzie. Narobił krzyku, ją odepchnął, mnie złapał za kołnierz i wyrzucił z pokoju.

Uciekałam, jak mogłam najszybciej, żeby nie zdążył mnie kopnąć. Wiedziałam, że jego kopniaki to nie byle co. Gdy raz kopnął Ewusię, ślad i wgłębienie ma na nodze do dzisiaj. Ten rycerski pocałunek butem zostawał na lata.

Wróciłam do swojej kolumny cała spłakana. Tymczasem kobiety posunęły się o kilkanaście kroków naprzód. Jeszcze kilka razy podchodziłyśmy tak i wreszcie zatrzymałyśmy się w pobliżu miejsca, skąd niedawno z taką siłą wyleciałam. Wtedy to, między jedną a drugą kolumną przechodziła

owa aufzejerka, której Jacuś przypominał synka. Zatrzymała się przy nim i tak jak tamta zagadała do dziecka. A ja znowu, tak jak do tamtej, zwróciłam się do tej z prośbą o pomoc. Popatrzyła na dziecko, odwróciła się do mnie, bez namysłu położyła mi rękę na ramieniu i powiedziała jak tamta: „Komm”. Tym razem powiodło się. Nie spotkałyśmy Pflauma, minęłyśmy bez przeszkód pierwszy i drugi pokój i znalazłyśmy się w pięknie urządzonej gabinecie, wyścielonej dywanami, robiącymi wrażenie przytulnego saloniku. Za biurkiem siedział sam Schultzhaf Lagerführer — kierownik obozu żeńskiego. Wstał, kierując wzrok ku aufzejerce z grzecznym uśmiechem, po czym pytająco popatrzył na mnie.

Szłam za nią i zgodnie z obowiązującym regulaminem zameldowałam się. Przerwał i zapytał:

— Was wünschen Sie?

„Sie?” — zdębiałam, zaskoczyła mnie ta forma. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, ona wyjaśniła, o co chodzi.

Zwrócił się do mnie:

— Dzieci z męskiego obozu już od kilku tygodni są wywiezione.

— Słyszałam o tym — odpowiedziałam — ale mój syn nadal jest tutaj.

— Skąd pani wie?

— Od mężczyzn pracujących na obozie  
— wyrzuciłam jednym tchem. Wyjaśniłam,  
że był chory i dlatego pozostał.

Zapytał jeszcze, w którym bloku się znajduje. Odpowiedziałam, że nie wiem.

— Jak się nazywa?

Podaliśmy imię i nazwisko. Zapisał w notesie i powiedział:

— Jutro o jedenastej będzie pani miała swego syna.

Serce waliło mi jak młotem, z wrażenia rozboleła mnie nagle głowa. Podziękowałam jemu i jej i wyszłam.

Doszłam do naszej kolumny przejęta i radosna, bo czułam, że tym razem Niemiec nie skłamał. Opowiedziałam towarzyszkom, jaki był przebieg rozmowy. Wiadomość o tym rozeszła się momentalnie. Na przodzie kolumny i na jej tyłach kobiety mówiły tylko o tym i cieszyły się razem ze mną, widząc w tym potwierdzenie naszych marzeń o wolności. Ile lat, miesięcy, dni i nocy czekałyśmy na nią! Niech świadczy o tym wiersz pod tytułem „Błędne koło”, który nieznana poetka obozowa skreśliła ukradkiem na swej pryczy.

Do domu pójdziesz na  
jesieni, Jesień na pewno  
wszystko zmieni.  
I oto jesień barwi liście

Szkarłatnie, rdzawo i  
złociście, Rozpina mgły  
błękitnosine  
I srebrnobiałą pajęczynę,  
Po niebie czarne chmury  
niesie, Świst i szelest budzi  
w lesie.  
Nie płacz. Nadejdzie czas  
spokojny, Na gwiazdkę  
będzie koniec wojny.  
Nadeszła gwiazdka, śniegu  
bielą Świat się otulił i  
odmienił.  
Przez zaśnieżone błędne  
drogi Myśl biegnie aż po  
domu progi. Wieczór,  
Wigilia, krąg rodzinny,  
Choinka, jasny śmiech  
dziecinny, Jakaś kolęda,  
jakaś znana,  
A pod obrusem garstka siana.  
I te wspomnienia jasne,  
czyste... Ach, nie mnie  
myśleć, Jezu Chryste Sen  
ześlij i zapomnienie, że to  
dziś twoje narodzenie.  
Poprzez baraku cienkie  
ściany Jęk wichru słysząc  
rozslochany. Nie płacz.  
Nadejdzie czas spokojny, Na  
wiosnę będzie koniec wojny.  
Nadeszła wiosna  
uśmiechnięta  
I Wielkanocne piękne  
święta.  
I znowu wspomnień świeży  
wianek. Święcone, krasny

wzór piśanek, Srebrzyste  
bażki wierzbnowe I  
pierwsze fiołki,  
Skowronek swoją pieśń  
wydzwania I biją dzwony  
zmarłychwstania.  
Wszędzie się życie budzi  
nowe,  
A nam tęsknota chyli głowę.  
Nie płacz. Nadejdzie czas  
spokojny Na żniwa będzie  
koniec wojny.

Hen, gdzieś daleko, w słońca  
chwale Chylą się złotych  
kłosów fale.

Modlą się chabry i ostróżki,  
I mak przystraja polne dróżki.

O! Daj bogate, hojne żniwo,  
Błogosławiona polska niwo!

I tylko tutaj się nic nie  
zmienia, Przeklęte koło  
udręczenia.

Nie płacz. Już wkrótce się  
odmieni Już tylko przetrwać  
do jesieni.

Mijały pory roku i rozwiewały się  
nadzieje. W doli nieszczęśliwych nic się nie  
zmieniało na lepsze. Przeciwnie —  
pogarszało się z dnia na dzień, zdawało się,  
że od strony człowieka nie przyjdzie już  
żaden ratunek i że nie pozostaje już nic,  
tylko modlitwa do Boga. Oto modlitwa  
poetki obozowej:

Poprzez olbrzymie tęsknoty  
morza, Poprzez odległość, co  
żywcem nas grzebie, Wołamy do  
ciebie, o wielki Boże,  
Daj nam do Polski wrócić, do  
siebie. Poprzez śmierć wpiętą w  
kolczaste druty, Co się rozpaczą  
chce na nas rzucić, Poprzez  
straszne piekło niemieckiej buty  
Daj nam, o Boże do Polski wrócić.  
Poprzez cierpliwą otchłań  
cierpienia,  
Z ludzkiej godności dna upokorzeń,  
Przez głód, co w bestię człowieka  
zmienia, Daj nam do Polski  
wrócić,  
o Boże.  
Przez mróz apelów, przez bezsen  
nocy, Mękę czekania racz nam już  
skrócić... Wyrwij nas z paszczy  
germańskiej mocy, Daj nam, o  
Boże, do Polski wrócić.

Polek było w tym transporcie sześć tysięcy. Na drogę wydawano nam chleb. Na nas troje dostałam trzy bochenki, które włożyłam do prowiantowego worka. Kiedy rozdano chleb, wymaszerowałyśmy.

Zaprowadzono nas na obóz męski, ewakuowany uprzednio z mężczyzn, których kilka dni temu przeniesiono na Jugendlager, i znowu znalazłyśmy się za bramami. Gdyśmy tam wkraczały, robiło się już szaro.

Cała nasza piątka ulokowała się razem,

na jednym z bloków. Dla Jacka i Irusi przygotowaliśmy miejsce do spania w przewróconej szafie. Blok był straszliwie zatłoczony, istne mrowisko, w którym trudno ulokować się nawet na siedząco. O spaniu nie było mowy. Na rozmowach minęły godziny do świtu. Był to dzień 26 kwietnia.

Słońce wzeszło szybko i obdarzyło nas pięknym, ciepłym dniem. Wyległyśmy na zewnątrz, aby rozprostować obolałe kości i wciągnąć w płuca poranne powietrze. O myciu nie było mowy. Kanalizacja była zepsuta. Obóz został natychmiast zanieczyszczony. Gdyby w tych warunkach przyszło nam spędzić tu kilka dni, kosztowałoby to niejedno życie ludzkie.

Niektóre kobiety zwiedzały obóz. Zaglądały przez okna do rewiru, a potem opowiadały makabryczne rzeczy. Żywi i umarli leżeli tam razem. Na podłogach stosy trupów, na pryczach chorzy straszliwie opuszczeni. Jęczeli i konali.

Nie chciałam tam iść, nie chciałam nic widzieć. Wystarczyło mi to, co opowiadała Ewusia i powracające stamtąd kobiety. Z rozpaczą myślałam o swoich najbliższych, którzy tu musieli żyć. Wzrokiem goniłam słońce, czekając na godzinę jedenastą.

## *Odzyskanie Andrzeja*

Robiło się coraz cieplej. Ranek minął. Zaczęto nas ustawiać w szeregi. Przed nami i za nami kolumny kobiet przygotowywano do wymarszu. Niecierpliwość moja nie miała miary. Przeszłowałam z nogi na nogę, wychylałam się i wpatrywałam w lukę między kolumnami, w stronę bramy. W uszach dzwoniły mi wczorajsze słowa: „Jutro o jedenastej...” Słońce stało już wysoko, a ja zaczynałam tracić nadzieję.

I nagle zobaczyłam go: szedł od strony bramy, prowadzony przez SS-mana. Był w swoim ubraniu z domu, z gołą głową, w ręku trzymał tłumoczek.

Kobiety, które go pamiętały z obozu kobiecego, poznały go także. Razem ze mną płakały z radości. Uściski i powitania nie miały końca. Tym razem Schutzhaftlagerführer dotrzymał słowa. Był to najlepszy dowód, że źle z nimi.

Wkrótce ruszyliśmy i z powrotem zaprowadzono nas na obóz kobiecy, pod jeden z bloków przy ulicy Lagrowej, gdzie wydano nam na drogę paczki UNRRA. Powyjmowano z nich papierosy. Otrzymałam aż cztery, po jednej na osobę. W sumie było nas teraz wprawdzie czworo, lecz do, bagażu tylko troje, bo Jacuś osłabł i nie mógł nieść nawet swego koca. Przed wyruszeniem w



dalszą drogę rozpakowałam dwie paczki, wyjęłam czekoladę i suchary i rozdałam Polkom, które zostawały w obozie. Było ich dość dużo, żegnały się z nami, machały do nas rękami i powiewały chusteczkami. Dlaczego nie znalazły się w naszych szeregach, nie wiem do dziś. Na rozmowy i wyjaśnienia nie było już czasu. Czoło pochodu ruszyło naprzód. Tym razem opuściliśmy piekielną bramę Ravensbrück na zawsze. Prowadzono nas nie tą drogą, którą kiedyś każda z nas tu przyszła, lecz nieco w bok. Po pewnym czasie kilkutysięczna kolumna zatrzymała się. Usiadłyśmy więc na trawie, aby odpocząć. Tu opowiedział nam Andrzej, jak bardzo się przestraszył, gdy wywołano go rano na bloku. Kazano mu zabrać wszystko, co ma, i oddano go w ręce SS-mana. Andrzej pomyślał, że ma rozkaz go rozwalić, bo milczał jak grób i prowadził przez las. O ucieczce nie było mowy, bo i gdzie uciekać. Z drugiej strony dziwiło go, że kazali mu zabrać rzeczy, lecz to też niczego nie dowodziło. Przecież dawano, ludziom mydełka i ręczniki do łaźni, z której nigdy już nie wychodzili.

Myślał potem, że może mają zamiar ode-

słać go do innego obozu, tam gdzie odjechali jego cygańscy rówieśnicy, gdy leżał na rewirze podejrzany o tyfus. Wszystko się wyjaśniło, kiedy SS-man doprowadził go do bramy męskiego obozu. Andrzej zobaczył tam tłum kobiet, a wśród nich i nas.

Opowiadał, że poprzedniego dnia wszyscy mężczyźni stali na Jugendlagrze wiele godzin, aż do późnej nocy, bo obóz miał być ewakuowany. W ostatniej chwili cofnięto zarządzenie i wrócili na bloki.

Po pewnym czasie ruszyliśmy dalej. Droga prowadziła przez las, mijaliśmy domki, przed którymi siedzieli lub leżeli na leżakach żołnierze niemieccy. Widocznie był to ośrodek sanatoryjny dla żołnierzy frontowych, wielu z nich bowiem miało głowy, ręce i nogi zabandażowane, niektórzy wyglądali jak białe kukły.

Marsz nareszcie się skończył i znaleźliśmy się na jakiejś małej stacyjce, na której stał pociąg towarowy. Załadowaliśmy się do wagonów. Mimo że pociąg był długi, wagonów było o wiele za mało na tych kilka tysięcy kobiet. Obok toru stała grupa oficerów SS, wśród nich był jeden w innym niż oni mundurze. Na rękawie miał niebieską opaskę z żółtym krzyżem. Przypuszczaliśmy, że jest to oficer szwedzki odbierający od Niemców

transporty więźniarek. Rozmawiał z Niemcami, obserwował, co się wokół dzieje.

Nadeszła chwila odjazdu. Nikt nas nie zegnał, nikt nie powiedział, dokąd jedziemy. Nie mieliśmy żadnej eskorty, a jedynymi Niemcami w całym długim pociągu byli maszynista i palacz. Ruszyliśmy, wkrótce zapadła noc. Zjedliśmy suchą kolację i zaczęliśmy się układać do spania na słomie, która była w wagonie. Cała nasza czwórka ulokowała się pod ścianą, zasypiając dość szybko, ukołysana miarowym stukotem kół pociągu.

Rano powitał nas prawdziwy wiosenny dzień. Pierwszy postój wypadł daleko od stacji, trwał długo i kobiety porozpalały wzdłuż toru ogniska, aby ugotować coś na śniadanie. Sprytniejsze pobiegły do parowozu i przyniosły gorącą wodę na kawę, kakao lub do mleka w proszku. Był chleb, były konserwy, głód nie groził. Te, które lubiły pichcić, robiły nawet kluseczki, aby jadłospis był urozmaicony. Inicjatywę teraz przejęła Ewusia, chodziła z kobietami na „organizowanie” wody i przyrządzała „dania”. Pociąg przystawał bardzo często. Ruszał tak powoli, że kobiety zawsze zdążyły ugasić ogniska i wskoczyć do wagonu. Czasami stał kilka godzin w polu

lub w lesie, często w pobliżu ludzkich osiedli. Rozwijał się wtedy handel wymienny z ludnością cywilną za konserwy. W jadłospisie można już było widzieć piękne jabłka, czasem chleb, który się skończył po dwóch, trzech dniach podróży, no i ziemniaki, do końca wysoko cenione na kulinarnej giełdzie.

W naszym wagonie było bardzo ciasno. Spanie organizowałyśmy w ten sposób, że część kobiet leżała ciasno obok siebie, inne siedziały, jeszcze inne stały. Po jakimś czasie następowała zmiana. Zrobiło się jeszcze ciaśniej, kiedy jedna z kobiet zachorowała na biegunkę. Żadna nie chciała obok niej siedzieć ani leżeć. Usunąć chorej nie było można, bo i gdzie? Osobnego wagonu dla chorych nie było, nie miałyśmy też żadnej opieki sanitarnej ani jakiegokolwiek innej.

Początkowo, przez jakieś dwa dni, nic mnie nie interesowało. Siedziałam oparta o ścianę i patrzyłam bezmyślnie przed siebie. Potem otrząsnęłam się trochę, wypoczęłam nerwowo. Podchodziłam do drzwi i razem z innymi oglądałam przesuwane się krajobrazy, zniszczone miasta.

Na jednym z postojów wskoczył do naszego wagonu oficer niemiecki, siadł w drzwiach i jechał z nami cały dzień, nie mówiąc ani słowa. Kobiety wyrażały wielką

ochotę, aby go zepchnąć ze schodków wagonu. Rozmawiały o tym ze sobą, a on nic nie rozumiał albo udawał, że nie rozumie, bo ani drgnął. Wieczorem na jakimś postoju ulotnił się.

Niemiec uszedł cało, a Andrzej omal nie postradał życia. Była noc. Siedział w drzwiach wagonu, zdrzemnął się i w pewnej chwili, kiedy pociąg zakręcał, wypadł. Na szczęście pociąg szedł wolno. Andrzej potoczył się po wysokim nasypie i wtedy dopiero oprzytomniał. Wgramolił się szybko na górę, dopadł jednego, z ostatnich wagonów, a kobiety wciągnęły go do środka. Na najbliższym postoju wrócił do swojego wagonu.

Raz stanęliśmy nocą w lesie, gdzie stacjonowały oddziały Hitlerjiugend. Żołnierze — młokosy poubierane w mundury — przeważnie byli pijani. Chodzili uzbrojeni i zaczepiali nas. Tu i ówdzie słyhać było krzyki kobiet. Była to jedna z najgorszych nocy. Las, pijane żołdactwo, ogniska biwakujących, daleka muzyka dział i huk bomb. Alianci widocznie bombardowali jakieś miasto, a ta ostatnia awangarda Hitlera piła i nabierała odwagi do walki.

Kilka śmielszych kobiet poszło do maszynisty z prośbą, aby odjechał trochę dalej, tam gdzie to „wojsko” nie będzie nam

zagrozić. Wzbraniał się, bo widocznie krył pociąg przed bombardowaniem, ale wreszcie się zgodził.

Z takimi przygodami dojechaliśmy do Lubeki. Kobiety powychodziły z wagonów i przyniosły wiadomość, że na dworcu przedstawiciele Polskiego Czerwonego Krzyża rozdają żywność i kakao dla kobiet z naszego transportu. Delegaci Polskiego Czerwonego Krzyża przechodzili wzdłuż pociągu i od riich dopiero dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Szwecji przez Danię. Życzyli nam wszystkiego najlepszego, a przede wszystkim powrotu do sił i zdrowia.

Radość wstąpiła w nasze serca. Wkrótce ruszyliśmy w dalszą drogę. Byłyśmy podniecone, chciałyśmy być już na miejscu. Noc minęła niespokojnie. Nie mogłyśmy spać. Kobiety, które wyspały się w ciągu dnia, gadały w nocy i przerywały sen innym. Ja byłam u kresu sił, tak wyczerpana wieczornymi czuwaniem nad dzieckiem, że mimo wszystko zasnęłam. Spałam tak mocno, że nie słyszałam, kiedy pociąg stanął na stacji docelowej Padborg, nie słyszałam gwaru, jaki musiał panować w czasie wysiadania kobiet z wagonów. Ocknęłam się w momencie, gdy ktoś dźwignął mnie pod ramiona i sprowadził na peron. Tu dopiero rozbudziłam się na dobre. Zobaczyłam dziwne postacie w stroju o niepokalanej bieli,

w białych, długich po łokcie rękawicach, z maseczkami na twarzy. Byli to przedstawiciele Czerwonego Krzyża. Uwijali się wśród tłumu kobiet, prowadzili chore, grupowali zdrowe, ciężko chore przenosili na noszach. Nie opodal stał ksiądz w uroczystych szatach i kilka cywilnych osobistości. Zaprowadzono nas do przygotowanego na bocznym torze pociągu Czerwonego Krzyża z wagonami osobowymi. Po wejściu do wagonów oniemiałyśmy. Luksus: miękkie wyścielane siedzenia, piękne chodniki, lustra, szklanki, karafki.

Był wczesny ranek, piąta lub szósta godzina. Zanim pociąg ruszył, dano nam na papierowych spodeczkach potrawkę cielejącą z ryżem. Było to pyszne. Za jakąś godzinę zaczęto roznosić bułki z szynką owinięte w pergamin oraz mleko w papierowych kubkach, które po użyciu wyrzucaliśmy do kosza.

Byłyśmy pod opieką Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, objęte głośną akcją hrabiego Bernadotte, która na kilka dni przed końcem wojny wydzierała z niemieckich szponów ofiary kacetów, uniemożliwiając przez to masową likwidację ludzi-cieni i ludzi chorych.

# W SZWECJI





## *Wśród ludzi*

Tak oto na duńskiej stacji granicznej pozostawiłyśmy za sobą lagry i bydłące wagony i powróciłyśmy do świata ludzi.

Jechałyśmy cały dzień do późnego wieczora. Przez okna wagonu oglądałyśmy okolice. Wszędzie wzdłuż torów stali Niemcy z automatami. Pilnowali linii kolejowej, aby ich transporty, które nas mijały, mogły bezpiecznie uciekać do Reichu. Późnym wieczorem przesiadłyśmy się do innego pociągu, równie luksusowego, który wraz z pasażerami wjechał na duży prom, kursujący do Kopenhagi.

Tu widziałyśmy Niemców zachowujących się nerwowo. Byli to przeważnie oficerowie i ich rodziny z bagażem i autami. Nasi niedawni panowie życia i śmierci wkraczali teraz w nie znaną im dotychczas krainę strachu, a my wolne już od tego uczucia radowałyśmy tym widokiem nasze serca.

W Kopenhadze przeładowano nas na inny bardzo duży prom. Z chwilą gdy stanęłyśmy na jego pokładzie, znalazłyśmy się pod banderą i opieką neutralnej Szwecji. Goszczono nas tutaj w pięknej jadalni, przy stolikach z białymi obrusami, obsługiwali nas kelnerzy w czarnych garniturach i

muszkach. Podawali nam gorącą owsiankę ze wspaniałym zimnym mlekiem oraz pyszne kruche ciasteczka. Wyobrażam sobie, jaką toaletę musiał przechodzić każdy wagon i statek po takich pasażerach jak my.

Na promie rozdawano nam papierowe torby, do których należało włożyć rzeczy pamiątkowe, a na torbie wypisać numer krążka, jaki każda z nas dostała przy wsiadaniu do pierwszego pociągu. Krążek należało zachować, a wybity na nim numer zapamiętać. Jakże różne były te numery od tamtych znienawidzonych. Te uśmiechały się do nas i przyśpieszały powrót do imienia i nazwiska.

Konserwy i prowiant w tekturowym opakowaniu polecono nam powrzucać w morze. Zatrzymać było można tylko nie napoczęte konserwy.

W czasie podróży spotkałam więźniarkę, która na lagrze, podczas ostatnich transportów, proponowała mi pamiątkowy złoty łańcuszek i medalik za nasze porcje chleba. Uśmiechnęła się do mnie, a ja poczułam satysfakcję, że wówczas nie skusiło mnie złoto i śmiało mogę patrzeć w oczy swej współtowarzyszce niedoli.

Po statku przechadzał się oficer marynarki. Był w towarzystwie tłumaczki, młodej Polki. Za jej pośrednictwem rozmawiał z byłymi więźniarkami, dopytywał się o ich

życie w Ravensbrück. Podszedł także do naszej czwórki i w telegraficznym skrócie dowiedział się ode mnie o naszych przeżyciach. Nazwisko i imię Jacka zapisał sobie w notesie i prosił o jakąś obozową pamiątkę. Ponieważ Jacek miał na bluzeczce pod płaszczkiem swój numer, przeoczony przez Niemców i nie zdarty przy wyjściu z obozu, oderwałam i dałam mu.

Dobiliśmy do portu w Malmö, skąd zabierały nas autobusy i dowoziły do stacji sanitarnej. Pierwszym zabiegiem, jakiemu nas poddano, była kąpiel. Odbywała się w namiotach przy świetle. Przy ścianach ustawione były rynienki z kranami. Nie była to jeszcze prawdziwa kąpiel, ale dokładne mycie się, usuwanie z siebie pancerza brudu.

Kobiety zdrowe myły się same, słabsze miały do pomocy młodych ludzi, Szwedów i Norwegów, ubranych w kombinezony. Byli to podobno studenci wyższych uczelni. Zmieniali wodę, podawali mydło, myli plecy, przynosili ręczniki. Mimo że ani ja, ani Ewusia nie potrzebowałyśmy pomocy, v/y- myli nas gąbką, a Jacka dokumentnie wyszorowali w wanience.

Tu dopiero zauważyłam, że jestem strasznie chuda i wyglądam obrzydliwie. Piszczele są tylko obleczone skórą, a łokcie i barki sterczą.

Po umyciu przechodziłyśmy do drugiego namiotu, gdzie stały cebry z wodą, a w nich drewniaki holenderskiej mody, wszystkie duże i klapiące. Człapałyśmy nago kilka metrów, w przejściu zamaskowany mężczyzna uzbrojony w aparat i tak ustawiony, aby nikt się nie przeszwarował, opylał nas arcydokumentnie i kierował do trzeciego namiotu. Tam dostawałyśmy bieliznę, a przy wyjściu używane, lecz wydezynfekowane czyściutki trencze.

Ponieważ nie było ubrań ani bielizny chłopięcej, Andrzej ubrany został w różową koszulkę i majteczki, a Jacek w za duże majtki i koszulę, które ciągnął po ziemi.

Tak wystrojeni, z mokrymi głowami, przeszliśmy w ręce lekarza i kilku sióstr Czerwonego Krzyża. Zaglądali do gardła, pobierali próbki z gardła i nosa. Tymczasem zdezynfekowano ubrania Andrzeja i Jacka i obaj chłopcy wrócili do swej płci.

Po tych zabiegach podzielono nas na grupy. Po naszą grupę podjechały autobusy, w których ulokowaliśmy się wygodnie i ruszyliśmy w drogę. Przez okna autobusu oglądaliśmy miasto i ludzi. Na jednej z ulic zobaczyliśmy pochód. Objasniono nas, że to robotnicy święcą swe święto. Był dzień 1-go maja.

Jazda nie trwała długo. Wysiadłyśmy przed jakimś wielkim budynkiem o lekkiej

konstrukcji. Jak się okazało, był to „Tennisstadion”, gdzie organizowano rozgrywki sportowe zimą lub w czasie niepogody. Wprowadzono nas do olbrzymiej hali ze szklanym dachem przysłoniętym białymi storami. Na parkiecie leżały rzędy sienników zasłanych mocną papierową bielizną imitującą znakomicie najlepszą płócienną. Prócz papierowych kołder dostałyśmy jeszcze ciepłe popielate koce. Przed snem dano nam skromny posiłek, a potem ułożyłyśmy się do upragnionego wypoczynku. Z niewysłowioną rozkoszą, czyste i bez strachu, że żadne „aufstehen!” nie zerwie nas na równe nogi, wyciągałyśmy się wygodnie i usypiały. Na sali panował lekki mrok. Jakiś czas szeleściły papierowe kołdry, potem zapanowała cisza.

Wieczorem zbudzono nas delikatnie i zaproszono do długich stołów ustawionych pod ścianą w pobliżu wejścia. Pielęgniarki Czerwonego Krzyża podały nam wczesną kolację, na którą składał się słodki ryż z rodzynkami, herbata, mleko i kakao oraz wspaniałe słodkie bułeczki z masłem. Wszystko było bardzo smaczne. Po posiłku znów położyłyśmy się, a siostry rozdawały nam witaminy oraz mierzyły temperaturę. Opieka była nadzwyczaj serdeczna, trwała dzień i noc. Pielęgniarki chodziły wśród nas, okrywały troskliwie, gdy z którejs

zsunął się koc lub kołdra.

Rano zbudziłyśmy się wyspane i wypoczęte. Spałaszowałyśmy obfite śniadanie złożone z owsianki, mleka, chleba, bułeczek z masłem, kawy, herbaty lub kakao. Po śniadaniu odbyło się badanie lekarskie, po którym zawieziono nas na prześwietlenie. Po zakończeniu badań lekarskich przez dwa dni wypoczywałyśmy. Rozdano nam woreczki z przyborami do mycia, dostałyśmy pierwsze kieszonkowe — dziesięć koron na osobę. Oddano nam też owe cenne rzeczy, które włożyłyśmy do papierowych toreb na peronie. Do Andrzeja wróciła jego karta obozowa, którą skradł w obozie, będąc przez pewien czas gońcem, oraz pamiątkowa szkatułka. Szkatułkę z jego numerem i monogramem zrobili mu więźniowie pracujący w stolarni. Andrzej nie rozstawał się z nią.

Jacek mógłby mieć wiele takich pamiątek, lecz nie udało się nam przywieźć do Szwecji ani jednej. Były to piękne, artystycznie wykonane drobne przedmioty. Więźniarki robiły je ukradkiem i przynosiły, aby dziecku sprawić radość. Żal mi pięknego Hucuła i zwierzątek rzeźbionych misternie w trzonku szczoteczki do zębów na przykład. Dużych, takich jak miś większy od Jacka, przemycony w kubie na śmieci, zabrać bym

nie mogła. Przyniosły mu go więźniarki w końcu marca, kiedy władze obozowe już prawie nie zaglądały do naszych sypialni, i ulokowany w kącie łóżka siedział dotykając głową górnego piętra. Figurki i zwierzątka mogliśmy przemyścić opuszczając Ravensbrück, lecz wszystko stało się tak nagle, że pakując się myślałam o chlebie, a nie o zabawkach.

Jacek od razu wzbudził sympatię pielęgniarek. Już pierwszego dnia otrzymał zabawki: auta i piękne ilustrowane szwedzkie książeczki. A potem zabawki posypały się w takiej ilości, że nie miałam ich gdzie trzymać i pielęgniarki musiały postarać się o duże pudło. Dostawał też wiele słodczy.

Święto 3 Maja obchodziłyśmy bardzo uroczyście. Było wśród nas wiele dobrych organizatorek, które w mig opracowały program uroczystości. Było też wiele kobiet utalentowanych, które wypełniły program pięknymi deklamacjami, śpiewem, wspomnieniami. Jednej z więźniarek udało się przewieźć w swej torbie, nie rewidowanej przez Niemców, sztandar drużyny harcerskiej z Warszawy. Widocznie pracowała w sortowni i przemyciła go na obóz. Gdy rozwijano uratowany sztandar, wszystkie płakałyśmy ze wzruszenia.

W dniu tym przyjechała do nas ze Sztokholmu delegacja Polskiego Czerwonego



Krzyża. Od niej także otrzymałyśmy woreczki z najpotrzebniejszymi przyborami toaletowymi oraz po 7 koron na osobę.

Następnego dnia po śniadaniu zabierano więźniarki do miasta. Polecono im przed wyjazdem zostawić trencze, a okryć się kocami. Po upływie kilku godzin na salę wbiegły eleganckie panie ubrane od stóp do głów. Każda w letnim płaszczu, bucikach, na głowach czapeczki, berety, kapelusze. W rękach miały suknie i jakieś woreczki. Jak się okazało, były to te same więźniarki, które zawieziono do magazynu, gdzie mogły wybierać to, co każda chciała.

W następnym autobusie pojechałyśmy obie z Ewusią. Jadąc tam wyglądałyśmy jak szare myszy okryte popielatymi kocami. Wracałyśmy elegancko ubrane. W drodze miałyśmy możliwość przekonać się, jak bardzo Szwedzi się nami interesują. U wejścia do magazynu policjant w białych rękawiczkach i z pałeczką torował nam drogę, gdyż obstępowano nas i częstowano słodyczami.

W magazynie przechodziłyśmy z działu do działu, zaczynając od bielizny, a skończywszy na dziale obuwniczym. Nie narzucano nam tu niczego, radziłyśmy się sobie, każda brała, co jej najbardziej odpowiadało. Radowałyśmy się odzyskanym rajem kobiecym, o którym jeszcze tak niedawno nie śniłyśmy nawet,

patrząc dzień w dzień na pasiaki lub krzyże towarzyszek.

Od momentu gdy znalazłyśmy się w rękach szwedzkich, przeistaczanie nasze następowało szybko jak we śnie. Pomoc ofiarowywano nam tak, że nie czułyśmy się upokorzone. Dostałyśmy nawet takie drobiazgi, jak kolorowe nici, igły, napastrki, które każdej kobiecie są potrzebne.

Nie mogę pominąć tego, jak ubrałyśmy się obie z Ewusią. Przeżycie było tak silne, że do dziś pamiętam, jak wyglądały nasze pierwsze sukienki, jaki miały kolor i deseń. Moja była krotonowa, szafirowa w białoniebieski rzucik, Ewusi płócienna w białoniebieską kratę. Płaszczce wybrałyśmy wełniane, mój granatowy, Ewusi niebieski, a na głowę berety. Pomyślano też o tym, że jedna para bielizny to za mało, i otrzymałyśmy drugą.

Koce i drewniaki, w których tu przyjechałyśmy, zostały na miejscu naszego przeobrażenia. Objuczone garderobą, wychodziłyśmy strojne i barwne jak motyle. Gdy to się działo, trzaskały aparaty fotoreporterów, chwytające momenty przeistaczania się biedoty ludzkiej w normalnych ludzi. Wróciłyśmy do swojego „Tennisstadion” i tu zaczęło się dopasowywanie za pomocą maszyn do szycia, które wjechały na olbrzymią salę.

Radości nie było końca. Jedna drugiej radziła i pomagała w poprawkach. Rodził się szyk, a te, które umiały, uwydatniały wdzięk. Wszystko było „okey”.

Wyjątek stanowili moi chłopcy, bo w magazynie, gdzie nas ubierano, nie było ubrań chłopięcych i dziecięcych. Następnego dnia, przed samym wyjazdem na czterotygodniową kwarantannę, doręczono mi duże pudło. Znalazłam w nim piękne ubrania dla obu chłopców, kurtkę dla Andrzeja, płaszczyk dla Jacka, buciki, skarpetki, bardzo ładną bieliznę i kaszkiety. Chłopcy wyglądali jak nie ci sami. Do pudła powędrowały większe zabawki Jacka, które nie mieściły się w poprzednim, bo mnożyły się jak grzyby po deszczu.

Po kilku dniach nastąpił wyjazd na kwarantannę. Miły i radosny nastrój podróży pociągiem mącił tylko niepokój o męża. Staralam się o tym z dziećmi nie mówić, aby nie psuć ich młodzieńczej radości, lecz nie zawsze się to udawało. Były za duże, aby nie rozumieć i nie wyczuwać mojej troski. Bez zmowy stosowały tę samą taktykę, aby mnie oszczędzać. Gdy pewnego razu powiedziałam, że może tatuś nie żyje, Ewusia zareagowała na to krzykiem prawdziwej rozpacz. Wołała, że to niemożliwe, że przypuszczenie takie nie może być prawdą, że tatuś żyje, że ona to czuje i wierzy, iż na pewno wróci. Oczy

miała pełne łez i patrzyła na mnie z wyrzutem. Wiedziałam, że u niej gdzieś na dnie duszy czai się ta sama myśl, którą stara się ukryć przede mną. Co myślał Andrzej, który patrzył na tę scenę? Był razem z ojcem w męskiej mordowni w Ravensbrück i widział, jak głodny i chory odchodził na transport. Przy pożegnaniu ojciec podzielił się z nim ostatnią porcją chleba, którą dostał na drogę.

Byłam wśród tych rozradowanych kobiet, lecz myślałam o tym, co w tej chwili dzieje się z ojcem moich dzieci.

### *Anety*

Po kilku godzinach znaleźliśmy się w Anety, ładnym małym miasteczku. Na dworcu oczekiwano już nas, powitano serdecznie i poprowadzono do szkoły, w której mieliśmy zamieszkać na czas kwarantanny. Jeszcze przed wejściem do budynku ugoszczono nas kawą i ciastkami ustawionymi w ogrodzie na długich stołach.

W klasach zamiast ławek zobaczyliśmy piętrowe łóżka, typowo obozowe, z czyściutkimi siennikami i pościelą podobną jak w Malmö. W salach mieszkałyśmy po kilkanaście i dzięki temu, że łóżka były piętrowe, miałyśmy dużo wolnej przestrzeni. Wszędzie lśniło od czystości, były kwiaty.

Pielęgniarki, które przejęły opiekę nad nami, chciały nam osłodzić każdą chwilę, były rozmowne, znosiły nam podarunki i słodycze. Krępowało nas to trochę, organizowały więc towarzyskie zabawy z loterią i fantami.

Początkowo nie mogłam się porozumieć ze Szwedkami. Język wydał mi się bardzo trudny. Gdy rozmawiały ze sobą, robiło mi się ciężko na sercu od ich „jo-ho” i przydechów, a ze słów rozróżniałam tylko te, które miały brzmienie podobne do niemieckiego. Lecz trudności znikwały szybko. Wśród pielęgniarek były mówiące dość dobrze po niemiecku i przez nie nawiązywał się ściślejszy kontakt z resztą personelu. Z wolna, wsłuchując się i korzystając ze słownika, zaczynałam rozumieć i wymawiać poszczególne słowa, a nawet zwroty.

W czwartym dniu pobytu w Aneby obchodziłyśmy święto zwycięstwa — koniec wojny. Był to dzień 9 maja 1945 roku. Rano około godziny dziewiątej odbyło się nabożeństwo odprawione przez księdza ewangelickiego. Po odśpiewaniu psalmów i pieśni wciągnęłyśmy na maszt flagę polską i szwedzką. W chwili wciągania flag śpiewano dwa hymny narodowe.

Wiele z nas płakało ze wzruszenia i radości, że doczekało tej szczęśliwej chwili.

Do pełnego szczęścia brakowało nam tylko polskiej ziemi .pod stopami i naszych najbliższych, o których każda myślała z troską i bólem.

Kilka dni później zachorowała mała Irusia Karlińska. Badania wykazały, że u dziecka jest coś nie w porządku z płucami. Matka rozpaczała bardzo, chociaż, jak zapewniały siostry, nie było to nic groźnego.

Pogoda była cudowna, kwitły jabłonie. Przyjechał do nas ksiądz katolicki, Finlandczyk, wypowiadał kilka kobiet i odprawił mszę w ogrodzie. Małą Irusię przygotował do pierwszej spowiedzi. Do mszy służył Andrzej. Po przyjęciu komunii świętej Irusia dostała piękny bukiet tulipanów składający się z tylu kwiatów, ile miała lat, oraz prezenty.

Gdy tylko ochłonęliśmy z pierwszych wrażeń i zadomowiły się w Aneby, rozpoczęło się poszukiwanie rodzin przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż i pisanie listów do najbliższych w kraju. Napisałam list do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie. Podałam w nim personalia męża, obóz, w którym przebywał ostatnio, nasz obecny adres i prosiłam o rozpoczęcie poszukiwań. Wysłałam też listy do kraju, do rodziny męża i swojej.

Mieszkańcy Aneby byli dla nas bardzo

serdeczni. Podchodzili pod ogrodzenie, przynosili nam prezenty. Nie mogłyśmy się stykać z ludnością bezpośrednio, byłyśmy przecież na kwarantannie, ale znajomości nawiązywały się przez płot.

Szczególnym zainteresowaniem cieszył się Jacek, który bawił się w ogrodzie. Szwedzi rzucali mu przez płot słodyczne i zabawki, między innymi dostał od nich rower na trzech kółkach i hulajnogę, na których harcował całymi godzinami.

Po dwóch tygodniach pobytu w Aneby zachorował Andrzej. Miał wysoką temperaturę, obsypała go jakaś czerwona wysypka. Pogotowie zabrało go do szpitala do Jönköping. Przebywał tam ponad miesiąc i na kwarantannę już nie wrócił. Zawiadomiono mnie tylko, że będzie zdrow, że jest roznosicielem dyfterytu, którym zarazić może innych, sam nie chorując na tę groźną chorobę.

Korespondencja na kwarantannie była coraz obfitsza. Zwiedzieli się już o nas w Szwecji i do Aneby zaczęły napływać listy od Polaków mieszkających w Szwecji i Norwegii. Pisali, że pragną korespondować z rodaczkami. Co młodsze kobiety losowały adresy i rozpoczęło się pisanie listów. Ewusia wylosowała adres studenta z Norwegii, Mariana Zakrzewskiego, rodem z Lubelszczyzny, do którego później dołączył się jego kolega. Z listów chłopców

przebijała tęsknota do ojczystego języka, do polskiej dziewczyny. Ewusia korespondowała z nimi chętnie i dłuższy czas dzieliła swoje młode serduszko na dwoje. Później zamiast jednego wspólnego listu zaczęły przychodzić dwa. Najdłużej trwała korespondencja z Marianem, potem spotkał on możnego protektora z USA, który zabrał go do Ameryki.

Ja pisałam tylko do rodziny, listy do przyjaciół i znajomych w kraju odkładając na później.

Zbliżał się koniec kwarantanny. Podniecenie i ciekawość, co będzie dalej, udzielały się wszystkim. Podobno miałyśmy wyjechać do miejscowości uzdrowskiej na dalszy wypoczynek. W przeddzień wyjazdu pozwolono nam wyjść do miasta. Byłam w towarzystwie dwóch Szwedek, jedna z nich mówiła po niemiecku. Kupiłam sobie jedwab na sukienkę, buciki i kosmetyczne drobiazgi. Wydawałam pieniądze bez zastanowienia, oczarowana wspaniałymi wystawami i uprzejmością sprzedawców. Zdawało mi się, że za te pieniądze, które mam, kupić mogę dużo, ale w ostatnim sklepie zabrakło mi kilku koron. Moje szwedzkie towarzyszki nie pozwoliły mi zrezygnować z paru drobiazgów i dopłaciły różnicę. Ze strony wszystkich kobiet szwedzkich wielokrotnie doświadczyłam dużo serdeczności i ciepła.



Nawiązała się przyjaźń, którą postanowiłyśmy podtrzymywać w przyszłości. Oto nazwiska moich najbliższych szwedzkich przyjaciółek:

Dorit Nykvist, Brygijtta Skrom, Try Britt, Brygitt Dygro, Gumilla Hentzmann, Barbo Bjöckliund.

W wigilię wyjazdu panie urządziły przegląd zabawek Jacka. Wszystkie auta, auteczka, wozy, koleje, dźwigi, maszyny, zwierzątka, ptaszki, słowem — to wszystko, co można było przywiązać jedno do drugiego, defilowało przed nami na podwórzu dookoła szkoły. Sznur zabawek miał chyba dziesięć metrów długości. Defiladę przyjmował Jacek na rowerku, który był prezentem od kierownika szkoły. Było wiele radości i śmiechu.

Pochód otwierała jedna z pań, niosąc jego mały nocniczek. To, co nie dało się powiązać, jak piłki, książki z obrazkami, leżało w pudle przygotowane do podróży.

### *Sunhultsbunn*

Z Aneby wyjechałyśmy przed południem. Podróż autokarami była przyjemna i -trwała niedługo. Dzień był piękny, wspaniałe widoki na jeziora i lasy przecinane doskonale utrzymanymi drogami. Sunhuljtsbrunn okazała się piękną

willową miejscowością wypoczynkową, położoną wśród lasów nad dużym jeziorem.

Rozmieszczono nas w kilku willach; ta, w której zamieszkałyśmy, stała na wysokim wzniesieniu z widokiem na lasy i jezioro. Dostałam pokój na drugim piętrze, przyjemny i ładnie urządzone. Oba piętra zaludniły się szybko, mieszkaliśmy po dwie, trzy, najwyżej cztery osoby w pokoju. Miałyśmy tu odpoczywać, przychodzić do sił i zdrowia.

Na parterze willi mieściła się jadalnia i hall z kanapami i wygodnymi fotelami. Nieco niżej znajdowała się kuchnia, kucharkami były Szwedki i Rosjanka, z której synem, Szurką, od razu zaprzyjaźnił się Jacek. Posiłki wędrowały windą do góry. W jadalni obsługiwałyśmy się same, do nas na

leżało mycie naczyń. Z ludnością cywilną poza personelem nie miałyśmy na razie żadnej styczności. Administracja czuwała nad tym, aby nie brakowało nam niczego i życie płynęło beztrąsko.

Każda z nas wiedziała jednak, że ta bajka nie będzie trwać wiecznie, że wcześniej czy później musi się skończyć. Te, które czuły się na siłach, zgłaszały się do pracy, o którą tu nie było trudno. Były i bardziej przedsiębiorcze, które podjęły pracę zaraz po odbyciu kwarantanny.

Po dwóch tygodniach wrócił Andrzej, lecz na odmianę zachorował Jacek. Wieczorem dostał wysokiej temperatury i zaczął majaczyć. Znowu pogotowie zabrało go do szpitala w Jönköping. W czasie jego choroby miałam częste informacje telefoniczne o stanie jego zdrowia. Po miesiącu wyjechałam po niego autem do odległej stacji kolejowej i tu oddała mi go młoda pielęgniarka. Podziękowałam serdecznie za jej trud i zabrałam go. Ze szpitala prócz nowych zabawek przywiózł też spory zapas szwedzkich słów.

Mijały dni urozmaicane imprezami i występami artystycznymi, organizowanymi przez nasze panie. Wśród nich wyróżniała się Stasia Kamińska z Kutna i Danusia Hanuszówna z Warszawy. Pogłębiły się znajomości z mieszkankami i mieszkańcami sąsiednich willi.

Próbowaliśmy dowiedzieć się od siebie nawzajem czegoś o swoich bliskich i znajomych, natrafić chociaż na jakiś ślad. Niestety, próby te zwykle kończyły się niepowodzeniem, odkrywano natomiast jakiś nowy skarb w niebieskich lub szarych oczach i życie nabierało rumieńców. Niemal co tydzień w jednej z willi odbywały się wieczorki i potańcówki. Ja prawie nie brałam udziału w tym życiu towarzyskim, chodziłam raczej na spacer i wycieczki, przez radio słuchałam audycji nadawanych po polsku ze Sztokholmu. Ewusia wołała mnie dotrzymywać towarzystwa. Andrzej wyżywał się w sporcie wodnym, a Jacek i Szura mieli swój świat; dziecięcy.

Codziennie budziłam się z nadzieją, że poczta przyniesie wiadomość z Czerwonego Krzyża lub list z kraju. Korespondencja moich towarzyszek stawała się bardzo ożywiona, przychodziły listy z innych obozów w Szwecji i Norwegii, tylko z kraju nic. Niektóre kobiety jeszcze w Aneby nawiązały korespondencję z marynarzami polskiej łodzi podwodnej „Sęp”, która była w Szwecji internowana. Pewnego dnia marynarze zjawili się u nas z wizytą i w ciągu naszego pobytu w Sunhultsbunn odwiedzali nas jeszcze kilkakrotnie. Chodzili z paniami na spacer, odbywali

przejażdżki łodziami po jeziorze, a w saloniku nie było końca gawędom i opowiadaniom.

Podczas jednej z takich wizyt, gdy towarzystwo siedziało przy obiedzie, wniesiono na stół potężny półmisek z pieczystym, bogato przybranym sałata, rzodkiewką i wszelką jadalną zielenią. Wielki nóż i widelec do krajania tego prosięcia czy indyka leżały po obu stronach półmiska. Minęła chwila, zanim ktoś zabrał się do krojenia potrawy, i dopiero wówczas okazało się, że to nie kawał mięsiwa, ale Jacek, ubrany w czarne krótkie majteczki, leży zwinięty w kłębek na półmisku. Leżał cichutko okryty zielenią i ani drgnął, gdy znalazł się na stole. Indyk zmartwychwstał, dostał od marynarzy słodycze i zawarł z nimi przyjaźń. Był często towarzyszem ich spacerów po lesie, pływał z nimi łodzią po jeziorze.

Po wyjeździe marynarzy Jacek i Szura, starszy od niego zaledwie o dwa lata, sprawili mi sporo kłopotu. Zniknęli i nie było ich dość długo. Zaczęłam się niepokoić. Poszukiwania w lesie nie dały rezultatu. Dobiegłam do jeziora i zobaczyłam obu malców w łodzi daleko od brzegu. Serce we mnie zamarło. Byli na głębini, po której mogły pływać statki, i tak daleko, że moje rozpaczliwe ^ wołania do nich nie docierały. Na szczęście w pobliżu znalazła się jedna z pań, doskonała pływaczka.

Zrzuciła w mig sukienkę, dopłynęła do łodzi i obu Kolumbów przyholowała do brzegu. Bohaterzy nie wyrazili wcale skruchy, byli raczej niezadowoleni, że przerwano im wyprawę. Okazało się, że odwiązali łódź i pożeglowali przed siebie. Robiłam sobie wyrzuty, że po tylu doświadczeniach nie umiem Jacka upilnować. Jak się potem okaże, takie wyrzuty miałam okazję robić sobie jeszcze wielokrotnie. W dniu 24 czerwca brałyśmy udział w uroczystościach, jakie w tym dniu odbywają się w całej Szwecji. Zebrali się Szwedzi i Polacy, młodzi i starzy. Drogą prowadzącą do lasu przeszedł pochód. Młodzież niosła duży i ciężki krzyż udekorowany wieńcami, girlandami, kwiatami. W lesie na dużej polanie krzyż wkopano w ziemię przy śpiewie i tańcach.

Długo, aż do późnego zachodu, bawiono się, śpiewano i tańczono. Były to i nasze sobótki; nad jeziorem panie odegrały fragment z „Balladyny”, w której Andrzej był Skierką. Potem całe towarzystwo rozbiegło się po lesie szukać kwiatu paproci. Do późnej nocy wśród drzew rozlegały się echa, śmiał się gdzieś Chochlik i dziewczyny.

## *Listy od męża*

18 lipca siedziałam sama w pokoju. Dzieci poszły do lasu na jagody. W pewnej chwili do pokoju wpadła Danusia Hanuszówna i pyta od progu:

— Jak pani mąż ma na imię?

— Henryk.

— Ma pani list od niego! — zawołała.

Chwyciłam kopertę. Była zaadresowana ołówkiem.

— Jest chory! — krzyknęłam. — Po piśmie poznaję, że jest chory!

Rozerwałam kopertę i zaczęłam czytać. Mąż donosił, że od dwóch dni jest w Szwecji, w szpitalu w Hälsingborgu, że jest bardzo chory i uważa, iż nie powinien tego ukrywać. Pisze ogromnym ołówkiem, wetkniętym w obandażowane dłonie, i z wielkim wysiłkiem, bo najmniejszy ruch sprawia mu ból w stawach. Pisze ten list prawie cały dzień z przerwami. Jest chory na ciężkie zapalenie stawów, nie może chodzić. Jeszcze w Niemczech, niedługo po wyzwoleniu przez wojska amerykańskie, przeszedł zapalenie opon mózgowych. Przebywał w kilku szpitalach, między innymi w Lubece, i stamtąd przewieziono go do Szwecji. Dzięki troskliwej opiece wykaraskał się z tego, lecz stawy są w dalszym ciągu chore, nie ma pełnej władzy

w rękach i nogach i leży jak kłoda. Poprawa nastąpiła na razie o tyle, że już sam zaczyna jeść, a nawet jako tako udaje mu się pisać ten list. Cieszy się niezmiernie, że nas odnalazł. Jeszcze w Lubece dowiedział się, że wiele kobiet z Ravensbrück na kilka dni przed końcem wojny wywieziono do Szwecji. Nie był jednak pewien, czy byliśmy wśród nich. W godzinę po przybiciu do szwedzkiego brzegu i wyładowaniu chorych ze statku od Polki pracującej jako pielęgniarka w szpitalu dowiedział się, że jesteśmy w Szwecji. Pielęgniarką tą była pani Ela Targ, która zaraz po kwarantannie poszła do pracy. Jechała do Szwecji tym samym transportem, co i my, i w drodze zapamiętała Jacka. Administracja szpitala w Hälsingborgu porozumiała się z Czerwonym Krzyżem w Sztokholmie i za kilka godzin mąż znał już miejsce naszego pobytu.

Radość nasza była ogromna. I znów miałam szczęście. Pierwsza z kilkunastu tu przebywających kobiet odzyskałam męża. Ale kiedy uświadomiłam sobie, jak ciężko jest chory, miejsce radości zajęła troska.

Chciałam natychmiast jechać do Hälsingborga. Kurator naszego obozu zadzwonił tam do szpitala, lecz odpowiedziano mu, że nie wcześniej niż za sześć tygodni będę mogła odwiedzić chorego, przy jego stanie bowiem nie wolno go niepokoić. Musiałam się z tym pogodzić,



modłać się w duszy, aby czas szybko upływał. Dzieci szalały z radości, a Ewusia wytykała mi moje niedawne czarne myśli.

Kiedy się uspokoiłam, usiadłam i napisałam długi, długi list, wysyłając go tego samego dnia. Wieczorem nie mogliśmy zasnąć, dobrze spał tylko Jacek, jak przystało na „głowę rodziny”, która spełniła swój obowiązek. Odnaleźliśmy się przecież nie przez Czerwony Krzyż ani przez radio hamburskie, przez które mąż nas szukał, ale właśnie dzięki Jacusiowi. To on utkwiał w pamięci Eli Targ i dzięki temu mogła udzielić memu mężowi informacji o nas.

Od tej pory żyłam już tylko korespondencją i liczeniem upływających tygodni. W następnych listach mąż pisał o swoich przeżyciach i o tym, jak dostał się do Szwecji.

Ewakuacja obozu zastała go na rewirze. Ponieważ sądził, że władze obozowe przed ewakuacją wykończą wszystkich chorych, postanowił uciekać. Przy pomocy kolegów z bloku udało mu się przedostać na drugą stronę drutów. Następnego dnia rano znalazł się w czterdziestotysięcznej grupie więźniów ewakuowanych z obozu w Sachsenhausen. Był ciężko chory na zapalenie stawów, miał wysoką gorączkę.

Pisał o potwornym głodzie, jaki panował wśród więźniów. Żywili się pokrzywami, ostami, młodymi piórkami zbóż,

ślimakami, niektórzy jedli najwet dżdżownice. Droga była usłana trupami tych, którzy padali z głodu i wycieńczenia. Kto zatrzymał się na chwilę lub odszedł na bok, temu natychmiast jeden z eskortujących SS-manów strzelał w tył głowy. Mąż pisał, że sam omal nie postradał życia w taki sposób.

Sił dodawała mu myśl o nas; modlił się o przetrwanie, bo widział zbliżający się koniec wojny. Miał wewnętrzne przekonanie, że wszyscy żyjemy i że jeżeli sam przeżyje, to musi nas odszukać. Mimo że był już w kategorii „muzułmanów”, szedł ku nam i doszedł.

Ten czterystukilometrowy potworny marsz zakończył się w pobliżu miasta Schwerin zajętego już przez wojska amerykańskie. Tam męża nakarmiono, udzielono pierwszej pomocy.

Po kilku dniach przewieziono go do Hagenow, byłego lotniska niemieckiego, które było punktem zbornym więźniów przed dalszym transportem i rozlokowaniem. Tam trafił do szpitala, potem był jeszcze w kilku innych. Kiedy znalazł się w Polskim Szpitalu Wojskowym w Lubece, był ludzkim cieniem, ważył 39 kilogramów. Zarząd szpitala przygotował dla niego i niejakiego Orłowskiego, więźnia Stutthofu, trumny, które czekały na nich na korytarzu. Orłowski zmarł. W nim tliło się

jeszcze życie, ale lekarz orzekł, że transportu nie wytrzyma. Gdyby nie decyzja szwedzkiej komisji lekarskiej, która przeprowadziła badania i oświadczyła, że bierze chorego na swoją odpowiedzialność, na pewno tkwiłby nadal w Lubece. W czasie badania mąż powiedział jednemu ze szwedzkich lekarzy, że żona i dzieci, byli więźniowie Ravensbrück, są już w Szwecji i że pragnie ich zobaczyć za wszelką cenę. Nie wiedział, czy to prawda, skłamał, a dziś dowiedział się, że jednak nie było to kłamstwo.

Szwedzka karetka zawiozła go do punktu sanitarnego, gdzie został wykąpany, ubrany w czystą bieliznę i odwieziony do portu na statek szpitalny „Kronprincesin Ingrid”.

Po przybiciu do brzegów Szwecji tego samego dnia dowiedział się od Lucyny Mioduszewskiej, również pielęgniarki w szpitalu, że odzyskałam Andrzeja. Pani Mioduszewska знаła nasze dzieci i opowiadała mężowi, jak czasem bawiła się z Jackiem przed blokiem i pomagała mu robić babki z piasku.

Wobec długiej wędrówki o głodzie i chłodzie, przy ciężkiej chorobie męża, nasza podróż w wagonach wydawała mi się bajką. On pił wodę z kałuż, my miałyśmy mleko i kakao, oni jedli korzonki i piórka zbóż, ślimaki i żaby, a my konserwy.

Jakże różne były nasze drogi do

wolności! W naszym wagonie nikt nie umarł, do nikogo nie strzelano; oni ślali drogę trupami.

Listy od męża przychodziły prawie codziennie. Pisał, że czuje się lepiej, że korespondencja z nami jest jego jedyną radością. Dotąd czas spędzał leżąc nieruchomo na łóżku, wpatrując się w sufit, słuchając postękiwań chorych. Opisywał atmosferę szpitalną, opowiadał o kolegach z sąsiednich łóżek, o pielęgniarkach polskich i szwedzkich, lekarzach, słowem, rozmawiał z nami i dzielił się myślami. W jednym z listów pisał o śmierci kolegi, który zmarł w dwudziestym pierwszym roku życia. Na kilka dni przed śmiercią dostał list od rodziców z Polski, którzy radowali się, że żyje, pisali, z jakim utęsknieniem czekają na jego powrót. Był w szpitalu jednym z pierwszych, który dostał list z kraju — ostatni list w swoim życiu. Mąż pisał o rozpaczy pani Lucyny Mioduszewskiej, na której rękach zmarł ów chłopiec. Przez wiele dni była zupełnie wytrącona z równowagi. Traktowała ona chorych jak matka. W dzień czy w nocy, na dyżurze czy po, zjawiała się na sali i doglądała swych podopiecznych, z wyjątkowym oddaniem pielęgnowała mego męża. W listach pisał o swej wdzięczności dla niej i dla szwedzkiej pielęgniarki, Margaret Eckerdal, oraz dla kuratorki szpitala, pani Stiny Bergengrenn z

Hälsingborga.

W sierpniu dostałam od męża kartkę z za-  
wiadomieniem, że nastąpiła segregacja cho-  
rych i że część pacjentów, wśród nich i jego,  
przewieziono do szpitala w Kalmarze. Wre-  
szcie mąż napisał, że zaczyna już chodzić.  
Wprawdzie musi się opierać na laskach i na  
ramieniu kolegi lub pielęgniarki, ale od-  
bywa już krótkie spacerunki po sali. Pisał, że  
nie może doczekać się dnia, kiedy nas zo-  
baczy. Wiadomość o powracającej władzy  
w nogach była dla mnie niezwykle radosna.  
Rozpoczęłam starania o zezwolenie na wy-  
jazd. Nie trwało to długo i 26 sierpnia do-  
stałyśmy z Ewusią dwa bilety na bezpłatną  
podróż oraz pismo zawierające krótką  
informację o nas, jako o nie znających  
języka, i prośbę, aby kierować nas do  
szpitala.

### *Pierwsze spotkanie*

Jacek pozostał pod opieką Andrzeja, a  
my z głośno bijącymi sercami wsiadłyśmy  
do pociągu. Droga była daleka. Pociąg  
mknął, a nam wydawało się, że się wlecze.  
Dojechałyśmy wieczorem. Zatrzymywałam  
przechodniów i pokazywałam owo pismo, a  
oni kierowali nas odpowiednimi ulicami. Po  
drodze kupiłam trochę owoców i kwiatów.  
Wreszcie stanęłyśmy przed szkołą, w której

mieścił się szpital dla byłych więźniów. Mi-  
nęłyśmy bramę, dziedziniec i znalazłyśmy  
się w budynku. Zwróciłam się do przecho-  
dzącej pielęgniarki i pokazałam jej pismo.  
Odniosła się do nas bardzo serdecznie, za-  
prowadziła na piętro i poprosiła, żeby  
chwilkę poczekać, bo musi chorego  
przygotować na ten radosny moment.  
Dowiedziałam się później, że w szpitalu  
wiedzano, iż jedzie- my, bo kurator  
naszego obozu skontaktował się  
telefonicznie z naczelnym lekarzem. Nic  
jednak nie powiedziano mężowi, chcąc mu  
sprawić niespodziankę.

Przygotowywanie” trwało dłuższą  
chwilę i niecierpliwiłyśmy się trochę.  
Wreszcie pielęgniarka zaprowadziła nas na  
salę. Rozejrzałyśmy się i na jednym z łóżek  
Ewa ujrzała tatusia, wspartego łokciami o  
poduszki. Wpatrzony był w drzwi i kiedy  
nas zobaczył, rozjaśniły mu się oczy.

Stwierdziłam, że wygląda dobrze, nawet  
bardzo dobrze. Doskonale odżywiony i pie-  
lęgowany, przychodził do siebie szybko.  
Był ogolony i to go odmładzało. Dotykałam  
go, aby przekonać się, że nie śnię.

Opowiedział nam, jak go przygotowano  
na naszą wizytę. Obudził się na krótko  
przed wejściem siostry. Zauważył, że na  
stoliku przed naszymi fotografiami, które  
dostał jeszcze w Hälsingborgu i z którymi  
się nie rozstawał, stały świeżo przyniesione

kwiaty. Kiedy weszliśmy z Ewusią, pielęgniarki ulotniły się i dopiero później mógł im podziękować.

Siedziałam na krześle obok łóżka, Ewusia ulokowała się w nogach. Mijały godziny, a my wciąż rozmawialiśmy. Wreszcie zrobiło się późno i trzeba było pomyśleć o noclegu. Kiedy już zbierałyśmy się do wyjścia, przyszła siostra i powiedziała, że pokój gościnny jest dla nas przygotowany. Dziś już żadnych wizyt lekarskich nie będzie i możemy cieszyć się sobą do woli. Zjedliśmy więc razem kolację, pogawędziliśmy jeszcze trochę i poszliśmy spać. Byłyśmy u męża dwa dni. Ja przesiedziałam przy nim cały czas, Ewusia robiła wypadki do miasta. Kupowała dla tatusia papierosy, papier listowy i pocztówki.

Wyjeżdżałam z żalem, że musimy się już rozstać, ale i z radością, bo widziałam, że mąż wraca do zdrowia.

Wszystkie te przeżycia pozostawiły jednak trwałe ślady, bo mąż już nigdy nie wrócił do zdrowia. Wprawdzie do 1960 roku pracował jeszcze jako leśnik w Nowej Wsi, ale ciągle musiał się leczyć. W 1961 roku zmarł.

## *Sjöarp*

W początkach września zostałam wraz z dziećmi przeniesiona do obozu w Sjöarp. Obóz w Sunhuitsbrunn miał być etapami likwidowany. Wiele osób zdrowych zgłaszało się do pracy i nasz stan ilościowy malał.

Wioska była pięknie położona — na pagórkowatym terenie, wśród lasów i jezior. Główna willa i dwie sąsiednie były już zajęte, otrzymałam więc mieszkanie w domu obok. Dom był krzepki, solidnie zbudowany. Pamiętał chyba bardzo dawne czasy. Nasz pokój był duży, pośrodku stały dwa filary, na których ulokowaliśmy huśtawkę dla Jacka. Umeblowanie było skromne, typowo wiejskie, lecz ze wszystkimi koniecznymi sprzętami. Jedyna jego wada to to, że był ciemny. Słońce zaglądało tu tylko w pewnych godzinach dnia, bo dostępu broniły mu drzewa, które rosły w ogrodzie, i małe okna. Dla nas nie było to zmartwieniem, bo prawie cały dzień przebywaliśmy na powietrzu albo w głównej willi, gdzie była świetlica i sala jadalna. Do domu wracaliśmy tylko spać.

Gospodarze domu, w którym zamieszkailiśmy, bardzo przypadli do serca Jackowi i szybko zawarł z nimi przyjaźń. Polubił pracę na roli, chętnie chodził do stajni i obory,



jeździł w pole z gospodarzem.

Po szwedzku mówił już najlepiej z całego obozu, bo wszędzie, gdziekolwiek był, znaleźli się rówieśnicy skorzy do zabaw, a przy zabawie uczył się języka. Z gospodarzami dogadywał się doskonale, lubili go i nie protestowali przeciw jego „pomaganiu”. Gdy jechali do pracy, Jacek lokował się na grzbiecie konia, a gospodarz dreptał obok niego. Przy orce Jacek trzymał lejce i poganiał. Do domu wracał zadowolony i umorusany, spał potem całą noc jak suseł.

Byłam bardzo zadowolona z pobytu w Sjöarp. Spotkałam znajome z Ravensbrück: panią Lgocką z córkami Krzysią i Danusią.

Wszyscy zaaklimatyzowali się tutaj bardzo szybko. Wkrótce utworzono zespół taneczno- muzyczny i chór. Organizatorzy zaczęli urządzać imprezy artystyczne nie tylko dla nas, ale i dla ludności szwedzkiej, między innymi w Vetlandzie. Barwne narodowe stroje, piękne tańce i piosenki podobały się ogromnie i każdy występ cieszył się wielkim powodzeniem. Znalazły się nawet fundusze na wysłanie całego zespołu do Sztokholmu, gdzie bawił kilkanaście dni, występował i zwiedzał miasto. Miał bardzo pochlebne recenzje w prasie.

Pisałam teraz dużo listów i dużo dostawałam.

Pierwszy list z kraju był od Heli, siostry męża, i był jednym wielkim wybuchem radości. Pisała, że oplakali nas już dawno, bo doszły ich wieści, że po aresztowaniu rozstrzelano nas w Pustkowie w lesie. List od nas był dla nich jakby znakiem zza grobu. W całej rodzinie zapanowała radość i listy zaczęły nadchodzić coraz częściej. Dowiedzieliśmy się, że Józek Frączek żyje. Po ucieczce z Pustkowa cały miesiąc ukrywał się; w końcu udało mu się wrócić do rodziny. Teraz z żoną i dziećmi mieszka w naszym domu w Kolbuszowej i praktykuje jako jedyny lekarz w mieście.

Nieco wcześniej wiadomość o nas dotarła do mojej rodziny w Strzyżowie. Mój brat Zygmunt, który pojechał do Krakowa kontynuować studia, spotkał tam studentkę Basię Taklińską, była więźniarkę Ravensbrück. Przy jakiejś okazji powiedziała mu, że razem z niejaką Ewą Augustynowiczówną leżała na rewirze, że Ewa przebywała w Ravensbrück z matką i braćmi, z których jeden, mały Jacek, znany był w całym obozie. Zygmunt natychmiast przekazał wiadomość o nas rodzicom. Zapanowała wielka radość, a biedna mama, która wypłakiwała za nami oczy, czekała teraz tylko listu z dalekiego świata, który niebawem przyszedł i

potwierdził opowiadanie Basi.

Tęsknota za swoimi i za krajem odezwała się teraz ze zdwojoną siłą. Zaczęto przebąkiwać, że może wkrótce pojedą transporty do Polski, że kto się zgłosi, może jechać.

Przy tym stanie zdrowia męża o nas na razie mowy być nie mogło. Nie kwapili się inni, gdyż wiele osób pragnęło przed wyjazdem popracować, zarobić tyle, aby nie wracać do kraju z pustymi rękami.

Bezczynność i beztroskie życie z wolna zaczynały ciążyć. Kobiety nie mogące iść do pracy zaczęły robić z włóczki i różnych materiałów lalki, kwiaty. Na wyroby te znajdowały chętnych nabywców wśród Szwedów i w sklepach. A na przykład pan Bogdan, kolega męża po fachu, leśnik, wyrabiał ptaszki z drewna. Rzeźbił ptasie główki, wycinał rozpięte skrzydełka, przymocowywał do kadłubków, pakował do walizki i ruszały w świat. Ptaszki ulatywały po dwie korony za sztukę. Jeździł z nimi po całej południowej Szwecji. W kraju czekała na niego żona i dzieci i z myślą o nich założył swoją „wylęgarnię” ptaszków, które „wysiadywał” do końca pobytu w Szwecji. Był to człowiek niezwykle miły, dowcipny i towarzyski. Zanim Ewusia i Andrzej wyjechali do polskiej szkoły w Öreryd, uczył ich łaciny.

Listy od męża były coraz weselsze. Donosił, że stan jego zdrowia poprawia się i

już sam, bez niczyjej pomocy, lecz jeszcze z laskami, spaceruje po sali, schodzi nawet do sutereny, gdzie są łazienki, na kąpiele mineralne i masaże.

### *Drugie spotkanie*

W końcu września dostałam bilet na wyjazd w odwiedziny do męża.

Mąż wyglądał świetnie, miał doskonały humor i z przyjazdu mego cieszył się jak dziecko. Lekarz, który go leczył, robił mi nadzieje, że niedługo będzie mógł przejść na leczenie w domu, pod stałą opieką lekarską. Powiedział także, że mój pobyt tutaj może potrwać kilka dni, i zarządził, aby łóżko męża przeniesiono na ten czas do oddzielnego pokoju, w którym zamieszkamy razem, abyśmy mogli nacieszyć się sobą. Kolację zjedliśmy już w tym pokoju, we dwoje. Następnego dnia mąż oparty na jednej tylko lasce i moim ramieniu wyszedł po raz pierwszy za mury szpitala. Szliśmy wolno, przystawali przed wystawami, kierując się w stronę morza, ku muzeum, które mieści się w starym zamku królewskim.

Po zwiedzeniu muzeum wyszliśmy na wały i oglądali stare armaty, z których może strzelano przy oblężeniu Częstochowy. Patrzyliśmy w bezkresne morze. Fale rozbijały się o mury zamczyska.

Po odpoczynku, który był mężowi bardzo potrzebny, ruszyliśmy w drogę powrotną, siadając jeszcze tu i ówdzie na ławkach ustawionych wśród zieleńców i alei. Po powrocie wcale nie czułam się źle, a ja cieszyłam się, widząc, że z wolna wraca do zdrowia.

W trzecim dniu mego pobytu w Kalmarze zafundowano chorym bilety do cyrku „Trzy Korony”.

Do Sjöarp wróciłam po kilku dniach pełna nadziei, że rozłaka wkrótce się skończy i znowu wszyscy będziemy razem. Opowiadałam o pobycie u tatusia ze szczegółami, a Jacek słuchał tego jak bajki.

### *Znowu razem*

1/8 października zawiadomiono mnie, że mąż przyjeżdża następnego dnia. Pociąg przychodził po południu. Wyjechałam po męża do Vetlandy autobusem, a z powrotem wróciliśmy taksówką. Kiedy byliśmy już blisko domu, na zakręcie spotkaliśmy wóz, a na nim dwóch pracowitych rolników. Jeden był stary i siwy, drugi mały, z jasną główką. Jechali rozrzucać nawóz po polu.

— Patrz — pokazałam mężowi — jaki nasz Jacek pracowity.

Mąż chciał zatrzymać auto, aby się z nim

przywitać i zabrać do domu, ale ja sprzeciwiłam się. Widziałam, że Jacek jest brudny i umorusany, i nie chciałam, żeby zabrudził siedzenia w samochodzie. Powiedziałam, że i tak wrócą za niecałą godzinę, jak tylko rozrzucają nawóz, który mają na wozie.

Pojechaliśmy dalej i za chwilę byliśmy już w domu. Dzieci rzuciły się witać tatusia, było dużo radości i krzyku. Zanim zdążyliśmy się rozebrać, do pokoju wpadł Jacek, cały zdyszany, i stanął przed ojcem patrząc na niego i nie wiedząc, co robić. Ojciec chwycił go i wyczałował. Zapytałam Jacka, skąd wiedział, że to my jedziemy.

— Poznałem tatusia po zębach — odpowiedział. Jak on te zęby widział, to już jego tajemnica. Pewnie gdyby nie wiedział, że pojechałam po ojca, nie poznałby go. Przez pierwsze trzy dni zwracał się do ojca: „Panie tatusiu”. Przyzwyczaił się jednak bardzo szybko i w ciągu kilku dni ojciec odzyskał syna, a syn ojca.

W całym obozie wszyscy byli dla nas bardzo serdeczni. Szwedzi wiedzieli, że stanowimy jedyną całą rodzinę, która po wszystkich przejściach znalazła się pod ich opieką, i okazywali nam dużo serca. Zajęli się dalszym leczeniem męża, dostarczali lekarstwa. Kilka razy w tygodniu Andrzej lub pan Bogdan przygotowywali ojcu kąpiele. Początkowo na te kąpiele mąż

musiał chodzić do sąsiedniej willi, ponieważ w naszym domu nie było łazienki. Później, po wyjeździe kilku osób do Polski, zrobiło się więcej miejsca, więc przeniesiono nas do dużego pokoju z wygodami, w willi z łazienkami.

Już na jesieni zorganizowano pierwszy transport do Polski i przyjmowano zgłoszenia chętnych na wyjazd. Z naszego obozu zapisało się kilkanaście osób. Transport odjechał 4 listopada. 1 listopada, tuż przed odjazdem transportu, odbył się w obozie apel poległych. Była to uroczystość wzruszająca i smutna. Wzięło w niej udział wielu mieszkańców Sjöarp oraz wszyscy Polacy. Z Vetlandy przyjechali przedstawiciele wyższych władz cywilnych i wojskowych. Wszyscy ustawili się w czworobok wokół wielkiego stosu ułożonego z drzewa i chrustu na wzgórzu w pobliżu obozu. Zapłonął wielki znicz. Obok stały maszty z flagami — polską i szwedzką. Obie były opuszczone do połowy masztu. Przemówienie po polsku wygłosił jeden z Polaków, a po szwedzku jakiś wyższy dygnitarz z Vetlandy. Potem odczytano nazwiska więźniarek i więźniów, rozstrzelanych, pomordowanych, zamęczonych w obozach koncentracyjnych: w Oświęcimiu, Ravensbrück, Buchenwaldzie, Stutthofie, Sachsenhausen i w innych. Lista była długa.

Po jej odczytaniu odezwał się głuchy głos werbli. Na koniec oddano hołd tym wszystkim, którzy zginęli na polach bitew i w powstaniu warszawskim.

Apel zakończono odegraniem hymnów — polskiego i szwedzkiego. Wiele osób płakało. Przypominaliśmy sobie swoich najbliższych, których już nie było między nami. Dla młodzieży pozostającej na razie w Szwecji zorganizowano ośrodek szkolny w Öreryd, do którego zostali zapisani Ewa i Andrzej. Kilka dni po apelu ze szkoły przyszło zawiadomienie, że rozpoczyna się nauka. Pojechałam więc z Ewą i Andrzejem do Öreryd. W czasie wojny miasteczko to było obozem dla internowanych żołnierzy norweskich. Położone było ładnie. Kuratorem ośrodka szkolnego był Szwed, Ted Wither, a dyrektorem szkoły Polak, dr Adam Szczypiorski, wykładowcami Wanda Madlerowa, była dyrektorka gimnazjum w Białej Podlaskiej, profesor Śliwa, Eisenstadt, Bedke, profesor angielskiego, i inni. Zostawiłam Andrzeja i Ewę i po dwóch dniach wróciłam do Sjöarp.

Kiedy mąż czuł się lepiej, zabieraliśmy Jacka i szliśmy na spacer, najczęściej wzdłuż zalesionych brzegów jeziora. Syciliśmy oczy pięknymi widokami. Była



cudowna, ciepła jesień. W lesie, wśród drzew, krzewów i mchu mąż czuł się doskonale. Gdy się zmęczył, siadał na kamieniu i patrzył na jezioro, na sine smugi lasu, rysujące się na przeciwległych brzegach. Spacerować musieliśmy ograniczyć, kiedy mąż zaczął pracować. Po wyjeździe dotychczasowego męża zaufania, Pawła Szafarskiego, jego funkcję administracja szwedzka powierzyła memu mężowi. Obowiązkiem jego było prowadzenie ewidencji w języku polskim, kontrola ruchu pensjonariuszy, rozdział mieszkań dla nowo przybyłych. Pensja wynosiła siedemdziesiąt pięć koron miesięcznie. Dla nas była to poważna suma, bo potrzeby dzieci rosły, posyłałam im także paczki żywnościowe, ponieważ wikt w Öreryd był o wiele skromniejszy i mniej smaczny niż w Sjöarp. Któregoś wieczoru, gdy Jacek już spał, gwarzyliśmy z mężem do późna w nocy. Dopiero teraz powiedział mi, że w czasie okupacji pracował w wywiadzie i wykradał Niemcom tajemnicę broni V-2. Części pocisków, które on sam albo jego ludzie znajdowali w lesie i na polach, dostarczał do komendy AK, skąd odsyłano je dalej. Gdyby Niemcy przyłapali go na tym lub tylko podejrzewali, że się tym zajmuje, zlikwidowałiby go natychmiast. Teraz dopiero zrozumiałam jego nerwowość, bezsenność, tajemnicze spotkania z różnymi ludźmi, którzy zjawiali się i

znikali. Przypomniały mi się też jego słowa, rzucone w rozmowie między buforami wagonów, gdy wywożono nas z Pustkowa: „Całe szczęście, że chodzi tu tylko o Józka, gorzej, gdyby zarzuty były innej natury”. W organizacji mąż miał pseudonim „Rafał”, jego brat Józek był łącznikiem i miał aż cztery pseudonimy, ksiądz Kurek był kapelanem polowym i łącznikiem, a dr Własnowolski lekarzem oddziału AK. Działali każdy na wyznaczonym sobie odcinku. Oddziały AK otrzymywały broń ze zrzutów. W naszym domu w Kolbuszowej na strychu odbywało się szkolenie młodych ludzi, zapoznawanie ich z bronią. Byli to młodzi zawodowi wojskowi, których ominęła niewola, członkowie ruchu podziemnego. Chłopcy przychodzili pojedynczo o umówionej godzinie w równych odstępach czasu. Po szkoleniu wymykali się i znikali wśród pól za ogrodem, wśród zbóż, skąd wychodzili potem na ulicę w różnych odległościach od domu.

W czasie gdy na strychu miały miejsce ćwiczenia z bronią, na straży stały czujki ubezpieczeniowe. Czujkę taką stanowił zwyczajny pastuch pasący krowy. Tkwił spokojnie przy swojej krowie i patrzył, co się wokół dzieje. Na ganku stała Kasia Frączkova i Marysia, bratowa mego męża.

Na szczęście ani razu nie zaszła potrzeba alarmu. Nawet tak szczwany lis, jak niesławnej pamięci Halicki, Ukrainiec pozostający na usługach niemieckich, były wywiadowca polskiej policji kryminalnej, postrach całego powiatu, zlikwidowany wyrokiem sądu Polski podziemnej jeszcze przed naszym aresztowaniem, nie wywąchał niczego i nikogo nie nakryli. Nieraz spacerował obok domu, nie przeczuwając, co się w nim kryje.

Mąż opowiadał mi także o tym, jak oszukiwał Niemców. Gdy wiosną 1944 roku kazali mu wyrąbać 1800 (m<sup>3</sup> drewna, postanowił las ratować. W swój plan wtajemniczył podleśniczego Smyrskiego i dwóch gajowych. Wyrąbali tylko 180 m<sup>3</sup>, wzdłuż drogi, aby Niemcy widzieli, że się wykonuje ich rozkazy. Mąż z gajowym uzgodnili, że wyrąbywać będą tylko tyle, po ile Niemcy się zgłoszą. Postanowili nie robić zapasów, a w razie potrzeby — dorąbywać. Obaj z panem Letkiewiczem robili fałszywe wykazy, których zresztą nikt nie kontrolował.

W samych Niwiskach mąż nie wyrąbał ani 100 m<sup>3</sup> drewna i pozostawił nietknięte zapasy na pniu. W Nowej Wsi i w Hucisku uratował około 1600 m<sup>3</sup> drewna.

Wspominaliśmy, jak do lasów w Nowej Wsi pewnego dnia w lecie 1943 roku rzeszowskie gestapo przywiozło na

ciężarowych autach około dwustu osób. Była to inteligencja żydowska z Rzeszowa: mężczyźni, kobiety, młodzież. Niemcy pozamykali przejazdy i szosę, robotników pracujących w lesie spędzili do gajówki i pilnowali, aby nikt się krokiem nie ruszył. Żydzi, przywiezieni rzekomo do pracy, zostali podzieleni na grupy, które wywożono samochodami w głąb lasu. Dochodziły stamtąd odgłosy strzałów, a auta wracały puste, mijając na skrzyżowaniu tych, którzy stali i czekali na swoją kolej. Nad wykopanym dołem Niemcy strzelali ludziom w kark. Żydzi błagali o życie, ofiarowując okup, lecz żywy nie wyszedł nikt. Żydówka, która była pielęgniarzką w czasie I wojny światowej i została odznaczona przez cesarza Wilhelma za pełną poświęcenia pracę na froncie francuskim, mimo swych zasług została rozstrzelana.

Ci, którzy byli ostatni w kolejce, nie mieli już złudzeń, co się z nimi stanie. Darli dolary, rzucali w krzaki biżuterię, którą mieli przy sobie. Strzępki banknotów poniewierały się jeszcze długo po lesie. Ale nie tylko one. Nie dość głęboko zakopane ciała stały się wkrótce pastwą lisów, które podkopywały się, wyciągały ręce i nogi i rozwlekały po lesie. Mąż w porozumieniu ze Smyrskim i robotnikami ogrodził ten ponury prostokąt ziemi. Posłużył się

żerdziami i kołkami, nie używając gwoździ, o które wówczas było bardzo trudno. Pale musieli wkopać głęboko, aby lisy nie mogły się podkopać. Kiedy Niemcy dowiedzieli się o tym, zjechało, gestapo rzeszowskie i oficerowie komendantury SS. Zabrali męża do Nowej Wsi. Tam spytali, kto go upoważnił do ogrodzenia terenu. Mężowi przeszły ciarki po grzbiecie, bo rozumiał, że ogrodzenie oznaczało utrwalenie miejsca zbrodni, a tego gestapo sobie nie życzyło. Uratowali go Marxen i Bormann wyjaśniając, że to z ich polecenia ogrodzono ten teren.

W czasie tej nocnej rozmowy dowiedziałam się od męża o wielu sprawach, o których mi nigdy nie mówił, nie chcąc mnie denerwować.

### *Boże Narodzenie*

13 grudnia, na świętą Łucję, rozpoczyna się w Szwecji okres przedświąteczny. Zwyczaj każe, by w dniu tym młoda dziewczyna przebrana za świętą Łucję w towarzystwie młodzieży obchodziła nocą domy. W domach tych podejmuje się ich kawą i ciastkami. Łucja ubrana jest w białą powłóczystą suknię, na głowie ma zielony wieniec z trzynastoma płonącymi świeczkami. Święta Łucja nie ominęła i

naszego obozu. Gdy siedzieliśmy przy kolacji, weszła do jadalni.

Piękny ten zwyczaj wprowadza w całą Szwecji świąteczny nastrój. Już od ranka następnego dnia odczuwa się go wszędzie. W mieście ulice są udekorowane, nad ulicami zwisają girlandy z gałązek świerkowych, wystawy sklepów przybierają odświętną szatę.

Z myślą o dzieciach, które miały zjechać na święta, zaczęłam robić ozdoby choinkowe z bibułek. Podobały się one bardzo naszym sąsiadkom, Szwedkom, które je ode mnie kupiły, płacąc po 25 oere za sztukę. Poddały mi myśl, aby robić te ozdoby na sprzedaż, bo na pewno znajdą się odbiorcy. Wstawałam więc wcześniej, o czwartej rano, i zachowując się cichutko, by nie budzić sąsiadek, robiłam te ozdoby całymi dniami, do późna w noc. W dzień pomagał mi mąż.

Sprzedaż ułatwiła mi żona pastora ze Skiro. Już w czasie roboty zgłaszały się odbiorczynie, sprzedawałam więc i wrzucałam oere do skarbonki. Z tymi ozdobami, które mi zostały, pojechałam do Vetlandy. Tam sprzedałam wszystko w sklepie, inkasując ponad 100 koron, co dla mnie było bardzo dużą sumą. Pieniądze, jak przystoi na takiego utracjusza jak ja, zaraz wydałam, kupując na gwiazdkę dla męża i

dzieci upominki, trochę słodyczy i pomarańcze. Wśród upominków dla Ewusi były piękne buciki i śniegowce.

Dzień przed Wigilią przyjechały dzieci z Öreryd. Andrzej poszedł do lasu, przyniósł choinkę, oprawił ją w krzyżak. Ubieraliśmy ją z taką radością, jak gdyby była pierwszą w naszym życiu.

W dniu Wigilii spotkała nas niespodzianka. Pan Larsson, wysoki rudawy Szwed pracujący w naszym obozie, przyniósł bardzo dużą paczkę adresowaną do Jacka. Po rozpakowaniu okazało się, że nadawcą jest niejaka pani Minkiewiczowa ze Sztokholmu. W paczce było wiele różnych rzeczy dla chłopca w jego wieku, bielizna, buty, ubranka, a także zabawki i słodycze. Rzeczy były używane, lecz w bardzo dobrym stanie, wszystkie czyściutkie i wyprasowane. Był też list wyjaśniający, że o Jacku państwo Minkiewiczowie dowiedzieli się od swojej krewnej, byłej więźniarki Ravensbrück. Wzruszyła nas życzliwość i serdeczność, okazana nam przez tych obcych właściwie ludzi.

Wieczерzę wigilijną przygotowowałyśmy wspólnie ze Szwedkami.

Sala była ubrana bardzo pięknie. Na wchodzących oczekiwał święty Mikołaj, który rozdawał podarki. Poza tym obdarowywaliśmy się nawzajem. Jacek w

ilości podarków zakasował wszystkich, bo otrzymał chyba piętnaście paczek, dużo słodczy i zabawek. Mąż mój otrzymał od żony starosty z Vetlandy ciepłą reniferową bieliznę, w której można by wybrać się na biegun, a Jacek wełniane pończochy.

Po wieczery wigilijnej spędzonej wspólnie ze Szwedami w rzewnym i serdecznym nastroju poszliśmy na pasterkę do Skiro do protestanckiego kościoła.

Na drugi dzień znowu zjawił się w naszym pokoju pan Larsson, tym razem już z dwoma paczkami. Jedna, adresowana do mego męża, nadana była przez pielęgniarkę Margaretę Eekerdal z Halsingborga. Przez miesiąc pielęgnowała go w szpitalu i dobrze zapamiętała. W paczce były życzenia urodzinowe, papierośnica, papierosy i słodczy.

Druga paczka była dla Jacka ze Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, zawierała same słodczy. Jak się później dowiedziałam, wszystkie dzieci polskie otrzymały takie paczki.

Na Nowy Rok cały nasz obóz zaproszony został przez miejscowego właściciela majątku ziemskiego. Pojechaliśmy tam saneczkami. Kiedy byliśmy już na miejscu, wprowadzono nas do salonu i pięknych pokoi, w których stały stoły, a na nich przystawki, ciastka i kawa. Rozwiązały się ję-



zyki i zapanowała miła atmosfera. Bawiliśmy się jak dzieci: tańczyliśmy wokół wielkiej choinki, sięgającej pod sufit, przy wtórze szwedzkich skocznych piosenek śpiewanych przez gospodarzy i ich dzieci, ich krewnych i znajomych. Pan domu ciągnął węża po wszystkich pokojach, oplatał nim stoły i krzesła, śpiewał i śmiał się, a my z nim. Kiedy się zmęczyliśmy, oprowadzano nas po rezydencji właścicieli; podziwialiśmy piękne stare meble i cenne obrazy. Zabawa przeciągnęła się do późna.

Po Nowym Roku Ewa i Andrzej odjechali do Öreryd.

Na Trzech Króli nasza rodzina została zaproszona przez kierownika szkoły. Spędziliśmy tu również bardzo miły wieczór. Którejś soboty przygotowałam paczkę dla dzieci i wybrałam się z Jacusiem na pocztę do Tälläng, aby ją nadać. Ulokowaliśmy paczkę na sankach i jazda. Do Tälläng było 4 kilometry drogą przez las. Zajechaliśmy szybko, zostawiłam Jacka z sankami w towarzystwie małych Szwedów jeżdżących na łyżwach na niewielkim jeziorze, a sama poszłam na pocztę. Gdy wróciłam, Jacka nie było. Zaczęłam wołać, lecz na próżno. Pytałam chłopców, ale ci niewiele mi mogli powiedzieć. Przy ich pomocy znalazłam ślady sanek prowadzące w głąb lasu. Po jakimś czasie ślady poczęły się urywać, a w

końcu straciłam je zupełnie, bo las gęstniał. Robiło się coraz ciemniej, ogarniał mnie strach, bo lasy tu ogromne; myślałam o wilkach, Jacku i serce waliło mi jak młotem. Straciłam zupełnie orientację i na oślep ruszyłam przed siebie. Na szczęście poszłam w dobrym kierunku i dojrzałam do szosy. Ale i tu nie wiedziałam, gdzie jestem. Ruszyłam znowu przed siebie i w końcu zobaczyłam światełka. Było to Sjöarp. Do domu podchodziłam ze ściśniętym sercem. Sanek nie było. Kiedy szłam po schodach do naszego pokoju, czułam, że nogi uginają się pode mną. Kiedy weszłam, mąż zwrócił się do mnie z wyrzutem: — Co się z tobą dzieje? Jacek dawno już wrócił, a ciebie nie ma! Zmęczona, lecz szczęśliwa, że Jacuś się znalazł, opadłam na krzesło.

W początkach lutego wystarałam się o bilet do Öreryd i pojechałam odwiedzić dzieci. W podróży, choć była daleka, nie nudziłam się. Obserwowałam ludzi, ich sposób bycia, zwyczaje. Zauważyłam, że przy powitaniu lub pożegnaniu starsi nie całują dzieci, tylko je mocno tulą do siebie. Pomyślałam, że to mądre i higieniczne, ale gdy zajechałam na miejsce, zapomniałam o tym i swoje dzieci wycalowałam zgodnie z naszym polskim zwyczajem. Byłam u nich parę dni i przekonałam się, że bardzo

marnie ich tu karmią. Widocznie zbyt gorliwie wziął sobie ktoś do serca apel rządu szwedzkiego o oszczędność w gospodarce żywnościowej, aby Szwecja mogła wydatniej pomóc narodom wyniszczonym wojną. Pomagali rzeczywiście nam i innym, ale w żadnym ośrodku obozowym nie odczuwaliśmy tych oszczędności. Do końca pobytu dzieci w szkole musiałam wysyłać im paczki. Wracalam w niedzielę. Na stacji w Näsjo okazało się, że pociąg, na który miałam się przesiąść, w niedzielę nie kursuje i muszę czekać siedem godzin. Poszłam więc zwiedzić miasto. Kiedy wróciłam na dworzec, spotkałam córkę kierownika szkoły ze Sjöarp, która jechała do rodziców. Miałam więc w drodze miłe towarzystwo.

W Vetlandzie po moją towarzyszkę wyszły siostry studentki, które tu mieszkały. Do odjazdu autobusu było ponad trzy godziny, zabrały więc nas do siebie. Poczęstowały ciastkami i tortem, a dla Jacka zapakowały do pudełka.

Opowiadałam im o naszych przeżyciach w lagrze, a one tłumaczyły rodzicom koleżanki, u której mieszkały. Wszyscy słuchali moich opowieści i nie mogli uwierzyć, że przeżyłam coś tak potwornego. Mnie samej, choć opuściłam obóz zaledwie kilka

miesiący temu, wydawało się nieraz, że wszystko, co tam przeżyłam, było koszmarnym snem.

## *Osby*

W kilkanaście dni po moim powrocie z Öreryd nasz obóz uległ likwidacji i przeniesiono nas do Osby. W Sjöarp po naszym wyjeździe utworzono ośrodek żydowski ze szkołą i koszerną kuchnią. Nie cieszyliśmy się z przeniesienia, bo przyzwyczailiśmy się do Sjöarp. Jacek zaczął tu chodzić do szwedzkiej szkoły, bardzo mu się to podobało. Dostał elementarz, zeszyty. Przeprowadzka wiązała się także ze stratą 75 koron, które mąż tu zarabiał.

W Osby naszą rodzinę ulokowano w pensjonacie „Haslarets-Vilahem”, którego właścicielem był dr Rosenberg; reszta pojechała do innego pensjonatu za miasto. Nas umieszczono tutaj ze względu na mego męża, bowiem w mieście mógł być pod stałą kontrolą lekarską. Ponieważ w pensjonacie wszystkie pokoje były już zajęte, zamieszkaliśmy w sąsiedztwie, w domu pani Norlander. Dobrze, że tak się złożyło, bo tutaj mieliśmy więcej swobody aniżeli w dużej gromadzie. Do pensjonatu chodziliśmy tylko na posiłki lub słuchać radia. Lekarzem mego męża był Łotysz, dr Tepfer. Był uchodźcą i mieszkał w

pensjonacie z żoną i dwojgiem małych dzieci. Zaopiekował się mężem bardzo serdecznie, przeprowadził badania, zaordynował specjalne leki i kąpiele, które polecił brać cztery razy w tygodniu.

Jacek zaprzyjaźnił się ze swymi rówieśnikami, dziećmi naszych sąsiadów, i chłopcy całymi dniami bawili się w ogrodzie. Dziwiliśmy się, jak szybko Jacek przyswoił sobie język szwedzki. Mąż, gdy szedł do miasta po sprawunki, brał go ze sobą jako tłumacza.

Od dłuższego czasu marzyliśmy o radiu. Fundusze, jakimi dysponowaliśmy, były jednak za małe. Zaczęłam się więc rozglądać za pracą. Udało mi się i wkrótce rozpoczęłam pracę u pana Lundquista, właściciela małej fabryki galanterii papierowej. Początkowo miała być to praca dorywcza i na krótko, ale po próbie zamieniła się na stałe zajęcie. Składałam tam obrusy papierowe przeznaczone na eksport do Indii. Doszłam do takiej wprawy, że składałam po 180—200 sztuk na godzinę. Kiedy wyjeżdżała żona właściciela, zajmowałam się jego domem. Pracowałam więc i w warsztacie, i w domu, z wolna zadomowiałam się i stawałam się nieodzowna, co było mi na rękę. Po powrocie z pracy do domu kleiłam różne książeczki, wklejałam obrazki w ozdobne okolicznościowe kartony, na przykład do

konfirmacji, urodzinowe, a mąż kleił koperty.

Zarabiałam stosunkowo nieźle, bo najmniej 10 koron dziennie, i marzenia o radiu z wolna zaczęły się stawać realne.

Pewnego dnia zjawił się u nas miły gość, pan Bogdan. Zdecydował się na powrót do kraju. Zaproponował mężowi, by przejął jego pracę, którą wykonywał na zamówienie fabryki zabawek w Osby. Była to praca chałupnicza. Polegała na tym, że wyciętego w drzewie konika trzeba było wygładzić raszpłą, a potem szkłem i papierem szmerglowym. Od sztuki płacono 25 oere. Mąż zapalił się do tej roboty, mówiąc, że będzie dla niego świetną gimnastyką palców. Przed wyjazdem pan Bogdan zostawił mężowi swoje narzędzia.

Nas także ciągnęło do Polski lecz ze względu na stan zdrowia męża nie mogliśmy jeszcze wracać. Mąż, choć dobrze wyglądał i chodził, cierpiał bardzo przy każdej zmianie pogody, a były dni i tygodnie, że z łóżka nie wstawał. Ciągłe jeszcze wymagał leczenia, a wydawało się nam, że w kraju na razie będą z tym trudności. Poza tym chcieliśmy, aby Andrzej i Ewusia nie przerywali nauki w szkole.

Z listów od rodziny dowiedzieliśmy się, że prawie całe nasze mienie przepadło. Ocalała tylko wanna z rzeczami, którą Stasia

Białkówna zakopała po naszym aresztowaniu, a po zakończeniu wojny odkopała i przewiozła do siebie na przechowanie. Pisała nam, że wszystko czeka na nas u niej w domu. Ocalał też nasz dom w Kolbuszowej, mieliśmy zatem dach nad głową. Tym, że wrócimy do gołych tylko ścian, nie przejmowaliśmy się, bo wierzyliśmy, że jeśli mąż będzie zdrowy i oboje zaczniemy pracować, to odbudujemy swe życie i wykształcimy dzieci.

W maju dostaliśmy z Öreryd przykrą wiadomość. Otóż wydano zarządzenie, że ucząca się młodzież w ramach akcji ogólnokrajowej ma przerwać naukę i udać się do prac polowych. Zgadaliśmy się, że to akcja pożyteczna, brały w niej udział wszystkie zakłady naukowe i młodzież uniwersytecka, lecz dla dzieci polskich, które utraciły tyle lat nauki, było to bardzo niekorzystne.

Ewunia i Andrzej napisali nam, że dano im na własność kombinezony, bieliznę, obuwie i że żywności są dobrze. Płacą im po 1,60 korony za 1 kilometr wyplewionych i wymotyckowanych buraków cukrowych. Dziennie mogą wyplewić do 6 kilometrów. Utrzymanie dzienne kosztuje 3 korony.

Chociaż pieniądze były nam bardzo potrzebne, wolelibyśmy z nich zrezygnować, byle tylko dzieci nie traciły nauki.

## *Wracamy do ojczyzny*

Wobec tego, że rok szkolny miał się ku końcowi, a dzieci i tak już się nie uczyły, zdecydowaliśmy się wyjechać do Polski transportem wyznaczonym na koniec czerwca. W kraju w czasie wakacji urządzimy się jakoś i od nowego roku szkolnego Ewusia i Andrzej będą mogli rozpocząć naukę.

Pracowaliśmy teraz z mężem bardzo intensywnie, nieraz po 16 godzin na dobę, i nieźle zarabialiśmy. Kupiłam kilka kilogramów kawy, herbaty, kakao, pieprz, to jest te artykuły, o które w kraju było trudno. Spłaciliśmy też radio, które kosztowało 300 koron. Dla każdego z nas kupiłam nowe obuwie, trochę materiałów i różne potrzebne drobiazgi. Potrzeby rosły, wydatki też, dzieciom nadal posyłałam paczki.

W połowie czerwca Ewa z Andrzejem już ze świadectwami przyjechali do Osby. Opowiadali, jak serdecznie żegnali ich koledzy, koleżanki, profesorowie, kurator i znajomi Szwedzi, jak żalowali, że w nowym roku szkolnym już się nie będą razem uczyć.

Nam także było żal opuszczać gościnną Szwecję. Ale serca rwały się do kraju.

Niech powie to za mnie, za nas i za tysiące innych Maria Wyszacka w wierszu



pod tytułem „Do ziemi szwedzkiej”.

Ziemia szwedzka chciała nam być  
matką, Przyjęła nas chlebem i  
mlekiem,  
Drogę życia usłała nam gładką,  
Zniewalając serdecznym uśmiechem.

Otworzyła uprzejmie ramiona Dla  
tułaczey, zbiedzonej gromady,  
Chciała z serca męki zdjąć znamiona,  
Chciała z twarzy łez pościierać ślady.  
Powitały nas odwieczne lasy,  
Stare świerki, brzoza białokora,  
Smiały nam się pełne cudnej krasy  
Rozświetlone, przejrzyste jeziora.  
I rzuciła pod stopy pielgrzymie  
Wszystkie krasy w pełnej obfitości,  
A to wszystko czyniąc tylko w imię  
Naszej wdzięcznej, wzajemnej  
miłości.

Więc myśl jedna zatruwa mi życie I  
boleśnie do mózgu się wwierca,  
Ze za dary tak siane obficie,  
Ja nie mogę dać jej mego serca.

Ono bowiem wyrywa się z piersi I  
tęsknota je pędzi szalona Tam, gdzie  
w więzach brutalnej przemocy  
Legła moja Ojczyzna skrwawiona.  
Tam, gdzie chwasty porosły na  
gruzach, Kłosa próżno czekają na  
kosa,  
Tam, gdzie człowiek zapomniał  
uśmiechu Przez okrutne zapędzone  
losy.

Ta tęsknota tak boli jak rana.  
Taką chmurą zawisła u czoła,  
To krew moich braci przelana Tak  
po nocach mnie woła i woła.

Każę oddać ostatnie swe siły Tej  
Ojczyźnie, co nigdy nie zginie.  
Objąć sercem jej świeże mogiły,  
Dzielić los Jej w najdroższej  
godzinie.

Nie miej żalu, Ty piękna, gościnną  
Ziemię szwedzką, że rzucę Cię rada,  
Bo mi dola pisana jest inna...  
Ciężka — ale ta, co sercem włada.

Ilekcroć czytam ten wiersz, łzy napływają mi do oczu.

Na kilka dni przed wyjazdem skończyłam moją pracę i pożegnałam się z panem Lundquistem. Zabrałam się do likwidowania naszego gospodarstwa i pakowania do drogi.

26 czerwca 1946 roku pożegnawszy znajomych wyjechaliśmy z Osby.

Prom „Drotting Victoria”, którym mieliśmy jechać do Polski, wyruszał z Trelleborga. Tu więc przybyliśmy w towarzystwie naszej kuratorki, Eiry Svenson. Po przenocowaniu mieliśmy cały dzień przed sobą. Zwiedziliśmy miasto, muzeum, oglądaliśmy piękne wystawy kuszące pięknymi towarami. Dwie korony i kilka oere nie chciałam już wydawać. Zatrzymałam je na pamiątkę.

Okolo dwóch godzin poświęciliśmy na opisanie naszych przeżyć w obozie dla Biura Historycznego w Lund.

Wieczorem znaleźliśmy się na statku. Było już po zachodzie słońca. Odbiliśmy od brzegu i za chwilę statek kołysał się na wodzie.

Tak pożegnałam gościnną Ziemię Szwedzką.

Augusta  
Christie



**Opracowanie udostępnione przez  
rodzinę Jacka Augustynowicza  
dla Stowarzyszenie „Rodzina  
Więźniarek Niemieckiego Obozu  
Koncentracyjnego Ravensbrück”**